

Ruth Langan
Jacqueline Navin
Lyn Stone

W wigilijną noc

One Christmas Night

Ruth Langan
Cudowne ocalenie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyżyny Szkocji, 1560

- Za tobą! Bacz na tyły! - Morgan MacLaren zdołał ostrzec przyjaciela gromkim okrzykiem, choć sam z najwyższym trudem opędzał się od gromady napastników, którzy z dzikim wrzaskiem wypadli z gęstwiny lasu. Z każdym ciosem miecza zbliżał się do Ramseya, którego napastnicy strącili z konia. Wiedział, że życie jego najbliższego przyjaciela jest w niebezpieczeństwie.

- Już nigdy więcej nie zabijesz miłującego Boga Szkota! - krzyknął Morgan i wbił miecz prosto w serce jednego z wojowników. - Ani żaden z was! - Wysoko uniósł oręż, groźnie patrząc na nadbiegających mężczyzn. - Niech to będzie dla was nauczka. Mój ojciec, pan tych ziem, zaprzysiągł, że nie spocznie, póki nie uwolni swego ludu od takiej hołoty jak wy!

Gdy wraży miecz przeszył mu ramię, nawet nie poczuł bólu. Zaskoczyło go jednak łaskotanie, wywołane przez spływające wzdłuż boku, ciepłe strużki krwi. Jeszcze bardziej zdumiał się, gdy nagle stracił władzę, w prawej ręce, która bezwładnie opadła. Na szczęście i lewą fechtował na tyle dobrze, by dać sobie radę z przeciwnikami.

Ramsey uniósł głowę i ujrzał, że spomiędzy krzaków na krawędzi lasu biegnie ku nim kilku kolejnych wrogów.

- Jezu Chryste! - krzyknął, - Już po nas, Morgan!

Przyjaciel spojrzał w kierunku lasu i błyskawicznie podjął decyzję.

- Bierz mojego konia, Ramsey! - rozkazał druhowi. - Pędź do zamku. Niech ogłoszą alarm. Trzeba zebrać siły i powstrzymać tych łotrów, nim nas zaleją jak potop.

- Nie zostawię cię! - Ramsey przeszył mieczem kolejnego napastnika.

Kiedy uniósł głowę, ujrzał przed sobą trzech nowych wrogów.

- Jeden z nas musi zanieść wiadomość do zamku. Inaczej ten najazd może zniszczyć nasze ziemie. Czy tego chcesz? We dwóch i tak nie poradzimy sobie z tymi wszystkimi łajdakami.

- Nie!

Tylko szybki refleks przyjaciela wybawił Ramseya od śmierci. Nim zdążył unieść miecz, Morgan w mgnieniu oka powalił dwóch napastników.

Zanim dopadła ich kolejna fala wrogów, Morgan zdążył odwrócić głowę do Ramseya.

- Wybór nie należy do ciebie. Jestem silniejszy z nas obu i zdołam zatrzymać ich wystarczająco długo, byś zdążył uciec.

- Morganie MacLaren...

- Jako twój pan rozkazuję ci, jedź! Od tego zależy ocalenie naszego klanu. Weź złoto. Mnie ono nie będzie potrzebne. - Morgan sięgnął w zanadrze, wyciągnął suto wypchaną sakiewkę i bez chwili wahania rzucił przyjacielowi. - A teraz ruszaj! I nie trać czasu na oglądanie się za siebie.

Posłuszny nakazom kodeksu rycerskiego, młody wojownik wskoczył na konia swego przyjaciela i ruszył galopem. Widząc grad strzał nadlatujących od strony lasu, odruchowo przytulił się do końskiego karku. Kiedy rzucił za siebie wzrokiem, ujrzał, że Morgan powala na ziemię jednego przeciwnika po drugim.

Z zaciśniętymi zębami popędził konia. Wiedział, że musi wypełnić rozkaz. Wiedział również, że jeśli ktokolwiek mógłby sobie poradzić w pojedynkę z nawałą wrogów, to właśnie Morgan MacLaren. W ciągu pięciu lat, które upłynęły, odkąd jako czternastoletni chłopak po raz pierwszy wziął udział w bitwie, zdążył zdobyć sławę nieustraszonego i doświadczonego rycerza. Jego imię budziło lęk wśród najeźdźców i dumę pośród ludzi, którym było dane walczyć u jego boku.

- Lindsay! - Dwoje maluchów, dziewczynka i chłopiec, wybiegło przed niską, ubogą chatę.

Przez chwilę dzieci w osłupieniu wpatrywały się w zbliżającą się do domu dziewczynę, po czym biegiem wróciły do domu.

- Dziadku! Dziadku! Chodź, zobacz, Lindsay wraca na koniu.

- Na koniu? - Wsparty na krzepkim kiju starszy mężczyzna pośpieszył przed chatę. - A gdzie ty znalazłaś taki skarb, dziewczyno?

- Paś się w lesie. - Dziewczyna zeskoczyła z końskiego grzbietu i rzuciła lejce chłopcu.

- A to co? - Starszy mężczyzna wskazał sękatym palcem na podłużny kokon, który przywłókł za sobą koń.

- To mężczyzna, ojciec. Rycerz. Znalazłam go nieopodal miejsca, gdzie natknęłam się na stertę martwych wojowników.

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi, a uśmiech zniknął z jego ust.

- Rycerz? Po co go tu ściągnęłaś?

- Jest ciężko ranny, ojciec. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy dożyje do rana. Ale nie mogłam przecież zostawić go samego na pewną śmierć.

- Nie mamy pojęcia, co to za jeden. Może to jakiś z tych łotrów, którzy tak dają nam się we znaki?

- Hm. - Dziewczyna rozplatała węzeł na linie, na której przyciągnęła rannego wojownika, a potem przywołała gestem dzieci. - Gwen! Brock! Chodźcie, pomóżcie mi zaciągnąć go do domu.

We trójkę zawlekli do chaty owinięte w derki, bezwładne ciało.

Starszy mężczyzna spoglądał na nich ponuro, grożąc im sękatym palcem.

- Uważaj, dziewczyno, żebyś nie ściągnęła nieszczęścia na własny dom.

Lindsay zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu.

- Gdybyś mu się przyjrzał, sam byś zobaczył, że temu biedakowi brak sił nawet na to, by unieść powieki - odpowiedziała i pociągnęła nieprzytomnego w kierunku niskich drzwi.

- Na razie jeszcze nie - burczał ojciec, kuśtykając za nimi. - Biada nam, gdy odzyska siły. Będziemy się bali, że we śnie popodrzyna nam gardła.

Lindsay rozłożyła przed kominkiem, na którym dopalały się grube polana, świeży siennik.

- Będziemy się o to martwili, gdy odzyska siły. Jeśli w ogóle przeżyje - mruknęła, przetaczając bezwładne ciało na rozścieloną derkę.

- Gwen - zwróciła się do dziewczynki - daj mi czyste płótno i wrzątek. A ty, Brock, przynieś zioła i maści.

Dzieci rozbiegły się po izbie, by wykonać jej polecenia. Kiedy wróciły, Lindsay powiedziała:

- Brock, zajmiesz się koniem. Będziesz go karmił i poił. Pamiętaj, że musisz go trzymać z dala od ludzi, żeby nikt go nam nie ukradł.

- Tak jest!

Zachwycony, że powierzyła mu tak odpowiedzialne zadanie, chłopiec pędem wybiegł z chaty.

- Do konia przytroczona jest jeszcze niespodzianka, Gwen - powiedziała Lindsay, drąc płótno na wąskie pasy.

Dziewczynka z piskiem wybiegła za bratem. Kiedy wróciła, jej drobna sylwetka ugięła się pod ciężarem pęku mieczy i strojów, które zdjęła z końskiego grzbietu. Lindsay zbierała oręż porzucony na polach bitewnych, by zapewnić rodzinie przetrwanie.

Podczas gdy dziewczynka wraz z dziadkiem przeglądali zawartość tobołka, Lindsay rozcięła nożem pokrwawione ubranie nieznanego. Ze zdumieniem naliczyła wiele ran na jego ciele, jak również liczne blizny - pamiątki po dawniejszych bojach. Nie miała już żadnych wątpliwości, że ma do czynienia z wojownikiem. Dość napatrzyła się na rany ojca, którym musiała się opiekować, gdy wrócił do domu po przegranej bitwie.

Zanurzyła kawałek płótna w gorącej wodzie i zaczęła ścierać krew z ciała nieprzytomnego mężczyzny. Zauważyła przy tym jego twarde mięśnie, szerokie ramiona i potężną pierś. Kimkolwiek był, musiał być groźnym przeciwnikiem. Ojciec miał rację, nieznanemu budził lęk. Z drugiej strony jej własnego ojca trzykrotnie ocalili przed śmiercią obcy ludzie i Lindsay czuła, że w jakimś sensie winna jest rannemu mężczyźnie tę próbę ratunku. Mimo to, opatrując rany nieznanego, modliła się w duchu, by okazał się przyjacielem, a nie wrogiem.

Kawałkiem płótna osuszyła ranę na czole. Kiedy obmyła jego twarz z krwi, stwierdziła, że jest pięknym młodzieńcem, niewiele od niej starszym. Miał szerokie brwi, prosty nos i wyraziste usta. Przez głowę przemknęło jej pytanie, jakiego koloru może mieć oczy, i natychmiast sama zganiła się za niestosowność swoich myśli. Matka nie na darmo powtarzała jej, że nie jest ważne, jakiego koloru ma człowiek oczy, lecz to, jakie ma serce.

Kiedy oczyściła i osuszyła rany, wprawnie roztarta suszone zioła w kamiennym moździerzu. Potem zmieszała je i opatrzyła poważniejsze rany, a na koniec owinęła rannego czystymi bandażami.

Przez cały ten czas nie odzyskał świadomości. Wszystko, co zauważyła Lindsay, to tyle, że raz czy dwa drgnęły mu powieki, jednak nawet nie jęknął, gdy przetaczała go z boku na bok, by opatrzyć rany, jakie miał na plecach i na ramionach. Gdy wreszcie zrobiła wszystko, co mogła, by mu pomóc, okryła rannego wojownika skórą i wróciła do bratanicy i ojca, wciąż jeszcze przebierających w tobołku.

- A to co? - Ojciec Lindsay uniósł niewielki bukłak. Kiedy odetknął zatyczkę i pociągnął nosem, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Wino. - Starszy mężczyzna pociągnął łyk. - Dobrze. Nasz gość zna się na trunkach.

- Gość? Coś takiego! - zaśmiała się Lindsay. - Jeszcze przed chwilą mówiłeś, że poderżnię nam w nocy gardła, a teraz nazywasz go gościem. A wszystko przez bukłak wina.

- O ile rzeczywiście do niego należy. - Ojciec uważnie przyjrzał się swej najmłodszej córce. - Nikogo więcej nie znalazłaś żywego?

Pokręciła głową.

- To musiała być zażarta bitwa. Naliczyłam dobrze ponad tuzin trupów.

- Ciekawe, czemu jego towarzysze go zostawili? - Starszy mężczyzna odwrócił się, by spojrzeć na nieprzytomnego rycerza.

Lindsay wzruszyła ramionami.

- On jest ledwo żywy. Może uznali go za niepotrzebny ciężar.

Pozwoliła ojcu pociągnąć jeszcze jeden długi łyk, a potem wyjęła mu bukłak z rąk.

- Będzie mi potrzebne do przemycia ran - powiedziała.

- To grzech tak marnować zacne wino - narzekał ojciec ze smutną miną.

- Och, nie martw się. Jeszcze dość dla ciebie zostanie. Tymczasem dziewczynka zajrzała w skórzane sakwy, gdzie znalazła świeże mięso.

- Popatrz, dziadku!

Ojciec Lindsay powąchał kawałek mięsa.

- To jeleń. Świeżo ubity. Gwen klasnęła w dłoń.

- Będziemy dziś jeść jak lordowie. Starszy mężczyzna popatrzył na córkę.

- Może zaskoczyli twojego rannego podczas polowania? Lindsay bezradnie wzruszyła ramionami.

- Być może. - Sięgnęła po mięso i zaniósła do ognia. - To prawda - trafiła się nam dzisiaj królewska kolacja. Jeśli będziemy się dobrze gospodarować, starczy nam jeszcze na jutro i na pojutrze.

Kiedy Brock wrócił, oporządziwszy konia, w chacie unosił się zapach pieczeni i świeżego chleba. Rodzina zasiadła wokół stołu, dzieląc się dziczyzną. Nie co dzień trafiała im się taka uczta.

- Lepsze to od samego chleba! - zaśmiał się chłopak pełnymi ustami.

- I od korzonków i jagód, którymi musieliśmy się żywić w ubiegłym tygodniu, wtedy, gdy chybiłaś bażanta, Lindsay. - Ojciec wytarł skórka od chleba swój talerz.

- Zobaczysz, że następnym razem pójdzie mi lepiej. - Lindsay sięgnęła po łuk i strzały, które znalazła na pobojowisku.

- Nie sprzedasz tego we wsi? - spytał ojciec. - Na pewno dostałabyś dobrą cenę.

Lindsay pokręciła głową.

- Wiem, że sporo bym za to mogła dostać. Może nawet wdowa Chisholm dałaby za to kwokę nioskę. Już od dawna potrzebna mi była jakaś broń poza tą. - Lindsay położyła dłoń na rękojeści zatkniętego za pasek sztyletu. - Teraz łatwiej mi będzie coś upolować. A to jest więcej warte od kury.

- Mogę sobie wziąć buty, Lindsay? - Brock z podziwem pogładził skórzane buty z cholewami.

- Jeżeli są na ciebie dobre. - Lindsay pozbierała ze stołu talerze. - Idzie zima, przydadzą ci się.

Nie musiała go drugi raz zachęcać do przymiarki. Chłopiec wstał i poruszył palcami w butach.

- Są za duże, ale jak zrobisz mi grube skarpety, to będą dobre.

Lindsay westchnęła.

- Jeszcze dziś się za to zabiorę. Dopóki nie skończę, na-pchaj sobie wełny w czubki butów.

Oczy chłopca promieniały radością. Pierwszy raz w życiu mógł założyć wysokie buty jak dorosły mężczyzna. Do tej pory nosił tylko miękkie, domowe łapcie, które szyła mu Lindsay.

Dziewczynka wyciągnęła rękę po grubą, wełnianą opończę.

- A co z tym zrobisz, Lindsay? Zatrzymasz to czy zamienisz na coś we wsi?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziała, nie przerywając zmywania naczyń. - Najpierw się dowiem, ile dałby za nią Heywood Drummond.

Na wspomnienie Heywooda Drummonda dzieci wymieniły znaczące spojrzenia i jak na komendę zmarszczyły nosy.

- Może da nam za nią dzban mleka?

- Ciekawe, za ile sam ją potem sprzeda? - mruknął niechętnie jej ojciec.

- Ano, ciekawe - przytaknęła Lindsay. - Ale nie obchodzi mnie, ile zarabia Heywood Drummond, dopóki daje nam to, czego potrzebujemy.

Skończyła zmywanie i odwróciła się do stołu. Dzieci ziewały i podpierały głowy rękami.

- Coś mi się zdaje, że już pora spać - powiedziała Lindsay.

Gwen i Brock bez protestu wspięli się po drabinie na stryszek, gdzie spali mieszkańcy chaty. Idąc w ślad za nimi, Lindsay dostrzegła jeszcze, że ojciec sięgnął po bukłak. Przygryzła wargi. Nie powinien słyszeć, że się śmieje. Powinna go zbesztać. Jednak cieszyło ją wszystko, co mogło sprawić radość ojcu. Tak niewiele miłych rzeczy spotykało go na stare lata. Dobrze, że choć dziś uśnie zadowolony z życia, bo rozgrzany trunkiem.

Lindsay poczekała, aż dzieci skończą modlitwy. Potem pocałowała każde z nich w czoło, okryła futrami i zeszła po drabinie, by zasiąść przy kominku z drutami i kłębkami wełny.

Chwilę później, błogo ukołysany winem, do snu ułożył się ojciec. Najchętniej zrobiłaby to samo, ale nie mogła. Zanim ogień wygaśnie, zdąży jeszcze zrobić kawał skarpety dla Brocka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Morgan leżał bez ruchu, z trudem składając w całość strzępy wspomnień.

Przypomniął sobie najeźdźców wysypujących się z lasu. Szczęk mieczy. Krzyki. Przekleństwa. I krew. Tyle krwi. Potem przypomniał sobie mężczyzn walących się u jego stóp i kolejnych napastników, deptających ciała martwych kompanów, by go dosięgnąć.

Nie ustąpił im pola. Na Boga, nie ustąpił napastnikom pola, choć jego prawica zwisała bezużytecznie u boku, a pokryte ranami ciało zdawał się z wolna ogarniać piekielny ogień.

Wreszcie przypomniał sobie ostatniego wroga, który miotając przekleństwa, biegł ku niemu z uniesionym nad głową mieczem. W tej samej chwili Morgan poczuł, że traci siły. Samo już tylko utrzymanie się na nogach wymagało nadludzkiego wysiłku. Czy zdołał pokonać ostatniego napastnika?

MacLaren wszędzie czuł okropny ból, co wskazywało, że przeżył bitwę. Był bardzo osłabiony i trawiła go wysoka gorączka. Po prostu cały gorzał.

Słyszał trzask płonących polan. Był tak ciasno owinięty w jakieś derki, że nie mógł oswobodzić ręki. Czy był więźniem? A może był zbyt osłabiony od ran?

Z trudem uniósł powieki i ujrzał najbardziej zdumiewający widok na świecie.

Kobieta. Siedziała z pochyloną głową i fala rudych włosów zasłaniała jej twarz, opadając kaskadą drobnych loków. Prosta suknia ze zgrzebnej wełny zsunęła się jej z ramienia. W ciepłym blasku ognia biała jak alabaster skóra zdawała się w nędznej izbie istnym cudem. Morgan nie mógł dostrzec twarzy nieznajomej. Wszystko, co widział, to druty tańczące w jej drobnych rękach.

Oderwał wzrok od kobiety, by rozejrzeć się wokół. Znajdował się w biednej, wieśniaczej chacie o ścianach zawieszonych skórami. Czuł zapach dymu i smakowitą woń mięsa. Przeniósł spojrzenie na drzwi i spostrzegł, że są zamknięte od wewnątrz na skobel. W głębi chaty stała drabina prowadząca na strych. Morgan domyślał się, że na górze są jacyś ludzie, ale nie miał pojęcia, ilu ich jest.

Nie zważając na ból, zebrał wszystkie siły, by zerwać krępujące go więzy, i odkrył, że nie potrafi tego dokonać. Był zbyt słaby. Nie chciało go słuchać nawet własne ciało.

Ostatnim wysiłkiem woli zdołał usiąść na sienniku. Okrywające Morgana skóry zsunęły się, odsłaniając bandaże na piersiach i ramionach, a zaraz potem on sam z ciężkim westchnieniem opadł bezwładnie na wznak.

Słyszac hałas, kobieta podniosła wzrok. Przez chwilę Morganowi zdawało się, że widzi anioła. Dziewczyna była jeszcze bardzo młoda. Jej szczupła twarz z lekko rozchylonymi ustami była olśniewająco piękna. A oczy... W ich zielonej toni lśniły złote refleksy płonącego na kominku ognia.

Odłożyła druty i wełnę, by do niego podejść.

- Więc jednak żyjesz, biedaku.

Poczuł jej dłoń na czole. Dotknięcie było delikatne jak pieszczota.

- Doprawdy?

Z trudem wykrztusił to jedno słowo. Miał tak wyschnięte

usta, że już samo oddychanie sprawiało mu niewyobrażalną mękę.

- Masz silną gorączkę. Jesteś ciężko poraniony. Czujesz ból?

- Tak.

Wpatrywał się w nią takim wzrokiem, że Lindsay poczuła się niezręcznie. Mimo to

była zadowolona, bo w końcu dowiedziała się, jakiego koloru są oczy tajemniczego wojownika. Były błękitne. Błękitne jak niebo nad wyżynami Szkocji.

Wzrok Lindsay przesunął się po ciele rannego mężczyzny. Gdy opatrywała go, był nieprzytomny i jego nagość nie miała znaczenia. Teraz jednak patrzyła na niego inaczej. Silne, muskularne ciało budziło w niej nieznane dotąd emocje.

Musiała coś zrobić, by ukryć zakłopotanie.

- Dam ci teraz wywar z maku - powiedziała. - Będziesz po tym spał.

Śledził ją wzrokiem, gdy szła przez izbę, a potem wracała do niego z kubkiem w dłoni. Uklękła i podłożyła mu rękę pod głowę, pomagając ją unieść, tak by mógł się napić ciepłego napoju. Mimo bólu i słabości całego ciała, Morgan pomyślał tęsknie, że gdyby poruszył głowę, jego usta napotkałyby kołyszące się pod suknią, prężne piersi dziewczyny.

Gdy przechyliła kubek, pociągnął nosem i skrzywił się.

- Paskudnie śmierdzi.

- Wiem i nic na to nie poradzę. Jeśli to wypijesz, rychło poczujesz się lepiej.

Zrobił, co mu poleciła. Całą uwagę skupił na piersiach swej opiekunki, kołyszących się pod grubą, wełnianą suknią. Nie jest z nim jeszcze tak źle, pomyślał, skoro w ten sposób reaguje na obecność kobiety. Kiedy przy nim klęczała, poczuł, że pachnie świeżym sosnowym lasem. W pewnej chwili jej włosy połaskotały pierś Morgana, budząc w nim uczucia silniejsze od bólu.

Nawet się nie zorientował, kiedy opróżnił kubek, odkrył tylko z przykrością, że jego głowa znów opada na posłanie.

- Kim jesteś? - wyszeptał z najwyższym trudem. - Skąd się tu wzięłem?

- Jestem Lindsay Douglas, a ten dom należy do mego ojca, Gordona Douglasa.

- Douglas... - powtórzył, walcząc z nagłą sennością.

To na skutek działania opium, pomyślał, a może nadchodzi śmierć? Głos dziewczyny był tak słodki jak anioła przyzywającego do nieba, a jego ciało płonęło, jakby już zaznawało udręk czyścicowego ognia.

- Nie jesteście wrogami?

W odpowiedzi cicho się zaśmiała. Zabrzmiało to, jakby wiatr przyniósł z daleka dźwięk srebrnych dzwoneczków.

- Nie, jesteśmy Szkotami. Baliśmy się, że ty nim jesteś. Z wysiłkiem pokręcił głowę.

- Nie jestem wrogiem. Walczyłem z najeźdźcami.

- Sam? - Lindsay nie potrafiła ukryć zaskoczenia. - Przecież tam był z tuzin trupów.

- Tak. - Morgan nie miał siły zmagać się dłużej z powiekami, które stały się ciężkie jak z ołowiu. - Zostań ze mną jeszcze.

Jego palce zacisnęły się na przegubie Lindsay. Mimo ran, MacLaren zachował zdumiewająco dużo siły. Nawet teraz, prawie śpiąc, gdyby tylko zechciał, mógłby zmiażdżyć jej rękę w żelaznym uścisku.

- Posiedzę przy tobie. Teraz zamknij oczy. Potrzebujesz snu, żeby wrócić do zdrowia,.

- Będziesz tu, kiedy się obudzę?

-Tak.

Lindsay przez długą chwilę wpatrywała się w pięknego rycerza. Już spał. Nawet nie

miała pewności, czy usłyszał jej odpowiedź.

Obudził go hałas. Zadziwiająco różnorodny. Usłyszał piskliwy śmiech dzieci i niski głos jakiegoś mężczyzny.

Morgan uniósł powieki i natychmiast oślepił go słoneczny blask wpadający do wnętrza chaty. Chwilę później w drzwiach pojawiła się drobna figurka siedmio- lub może ośmioletniej dziewczynki. Rude loki sięgały jej poniżej pasa.

- Lindsay! - Mała omal nie upuściła wiadra z wodą. -Obcy się obudził!

Dziewczynka postawiła wiadro i wybiegła z domu.

Chwilę później młoda kobieta uklękła przy postaniu Morgana. Zza jej ramion wyglądało dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, oraz przygarbiony starszy mężczyzna. Wszyscy wpatrywali się w niego z takimi minami, jakby lada chwila zamierzali się rzucić do ucieczki.

- Już się wyspałeś? - Lindsay leciutko dotknęła dłonią czoła rannego.

Z trudem stłumił westchnienie. Jej drobne palce były takie delikatne i chłodne. Tak dobrze było poczuć je na rozpalonej skórze.

- Wciąż jeszcze masz gorączkę, ale chyba mniejszą niż wczoraj. Przyszykuję ci nową porcję opium na uśmierzenie bólu. Najpierw musisz coś zjeść, żebyś nabrał sił.

- Lindsay odwróciła się do dziewczynki. - Przynies kubek rosolu, Gwen.

Dziewczynka zniknęła, aby powrócić z naczyniem, nad którym unosił się kłęb aromatycznej pary.

Jak poprzedniego wieczoru, Lindsay uniosła głowę Morgana i przytknęła kubek do jego ust. Wypił zaledwie parę łyków.

Wstała, by przygotować wywar z maku, ale pozostała trójka nadal stała nad Morganem, nie odrywając od niego wzroku.

Pierwszy odezwał się chłopiec, który wyglądał na starszego o rok lub dwa od swej siostry, bo to, że byli rodzeństwem, nie ulegało wątpliwości.

- Lindsay mówi, że nie jesteś wrogiem.

- To prawda.

- Z jakiego jesteś klanu? - To spytał starszy mężczyzna.

- Jestem Morgan z klanu MacLarenów.

- Aha. - Mężczyzna spojrział na niego cieplej. - To uczciwy, godny ród.

Wróciła Lindsay i przysunęła do ust Morgana kubek z wywarem z maku.

- Ohydne - mruknął, marszcząc nos.

- Zgoda, ale sam przyznasz, że lepiej po tym śpisz. Wypił wszystko do dna i opadł na siennik, ciężko dysząc.

- Co robiłeś w lesie? - spytał Brock. Lindsay uciszyła chłopca:

- Cicho bądź, jeszcze nie pora na rozmowy. Widzisz przecież, że on jest ledwie żywy.

Odstawiła wypłukany kubek i sięgnęła po wełnianą opończę z kapturem.

- Pojadę teraz do wsi, zobaczę, co dostaniemy za moje wczorajsze znaleziska - powiedziała do starszego mężczyzny. - Zostaniesz z naszym gościem?

Ojciec skinął głową.

- Będę potrzebowała więcej ziół, by go opatrzyć - zwróciła się z kolei do chłopca. - I mchu - tego, który rośnie na brzegu strumienia. Wybierzecie się tam z Gwen?

- No pewnie, Lindsay.

- Uważaj na siostrę.
- Przecież wiesz, że zawsze jej pilnuję.
- Wiem. - Lindsay przytuliła chłopca i pogłaskała po zmierzwionej czuprynie, a potem wyszła z domu.

Morgan chciał spytać starszego mężczyznę, dlaczego dzieci zwracają się do matki po imieniu, nie okazując jej należytego uszanowania, ale zabrakło mu sił. Sam nie wiedział, kiedy zamknął oczy. Dobiegł go jeszcze stukot kopyt przed domem, a potem zapadł w sen.

Gdy obudził się po raz kolejny, przez chwilę leżał cicho, wsłuchując się w dobiegające do niego podniecone głosy. Uniósł powieki. Cała rodzina skupiła się wokół stołu, na który Lindsay wykladała skarby, jakie przywiozła ze wsi.

- Kiedyś potrzebowałam całego dnia, by dotrzeć tam i z powrotem. Teraz, odkąd mam konia, starczy mi częśćka tego czasu. Spójrzcie, jak wiele zdołałam przywieźć. Pół tuzina jaj od wdowy Chisholm - oznajmiła Lindsay, kładąc jaja na stole z szacunkiem, jaki ludzie zwykle żywią dla złota.

- A to co? - Brock uniósł skórzany bukłak.
- Mleko. Starczy go dla ciebie i Gwen na kilka dni.
- Sprzedałaś miecz?
- Uhm. - Uśmiech zniknął z twarzy Lindsay. - Hey-wood Drummond dał mi za niego trzy złote monety.

- Trzy monety! - wybuchnął Gordon Douglas, uderzając pięścią w stół. - Był wart dziesięć razy więcej. Taki miecz z rękojeścią zdobioną szlachetnymi kamieniami wart jest o wiele więcej.

Morgan zacisnął zęby. Nie miał wątpliwości, że rozmawiają o mieczu, który otrzymał od ojca. O tym samym mieczu, który napawał go zawsze taką dumą. A teraz jakiś prostak wyłudził go za nędzne trzy sztuki złota.

- Nie miałam wyjścia, ojczu. Nikt inny we wsi w ogóle by go ode mnie nie kupił.
- Wiem o tym i Heywood także o tym wie. Łajdak, nie lepszy od złodzieja.

Lindsay położyła dłoń na zaciśniętej pięści ojca.

- Ale starczyło na worek mąki, a nawet na ten drobiazg dla ciebie - dodała, kładąc na stole małe zawiniątko.

Po chwili starszy mężczyzna z radością stwierdził, że w szmatkę zawinięta była odrobina tytoniu.

- Niech ci Bóg wynagrodzi, dziewczyno.

Lindsay nachyliła się ku ojcu i pocałowała go w czoło. Potem rzuciła okiem na Morgana i odkryła, że jest przytomny. Podeszła do niego.

- Wywar przestał działać? Potrzeba ci czegoś? Z trudem kiwnął głową.
- Pić.
- Przynieśliście wodę, kiedy mnie nie było? - spytała Lindsay dziewczynkę.
- Tak.

Dzieci spojrzały po sobie. Potem Gwen z ociąganiem zaczerpnęła płynu do kubka i ostrożnie podeszła do siennika.

Morgan widział, że dziewczynka spogląda na niego z jawnym strachem. Skończył pić i oddał jej kubek.

- Czy Gwen to skrót od Gwynnith? - spytał z uśmiechem.

Dziewczynka potrząsnęła głową tak energicznie, że rude loki zatańczyły wokół jej twarzy.

- Nie, to od Guinevere.

- Guinevere? To tak, jak miała na imię żona króla Artura. Prawdziwie królewskie imię.

Gwen odwzajemniła Morganowi uśmiech.

- Mój tata też tak mówił.

Potem pobiegła z kubkiem do Lindsay, która wzięła się za szykowanie kolacji.

Leżąc w milczeniu, Morgan zastanawiał się, gdzie właściwie może być ojciec dziewczynki. Na polowaniu? A może na wojnie? Cóż to za człowiek, który zostawia żonę z dziećmi i starym ojcem na łasce losu?

A ojciec Lindsay? Choć utykał i na starość wyraźnie niedomagał, znać po nim było wrodzoną godność. Starszy mężczyzna przemawiał głosem nawykłym do wydawania rozkazów, a jego dumna postawa zdradzała, że wiódł kiedyś daleko wspanialsze życie niż obecnie.

Najbardziej ze wszystkich intrygowała go jednak sama Lindsay. Mimo prostego stroju poruszała się z wdziękiem i szlachetnością kobiety godnej pałacu i służby, nie zaś ubogiej wieśniaczej chaty. A jednak tu właśnie żyła, zbierając po okolicznych polach bitew broń i inne dobra, by zamienić je we wsi na pokarm dla rodziny. Tak jakby zupełnie lekceważyła los, jaki może jej przyspaść w udziale, gdyby trafiła w ręce najeźdźców.

Lecz to nie jego zmartwienie, pomyślał, zapadając w sen. Gdy tylko odzyska siły, będzie musiał wrócić do zamku, by uspokoić ojca. A potem poprowadzi wojowników przeciw wrogom i na zawsze uwolni ojczystą Szkocję od najeźdźców. To były miłe marzenia, ale jeszcze miłsze nawiedzały go, gdy wracał myślami do Lindsay Douglas.

Gdy wreszcie zamknął oczy, dziewczyna niepodzielnie zapanowała nad jego sennymi marzeniami. Widział jej twarz i słyszał cichy głos, dzięki czemu mógł wreszcie zapomnieć o szczęku oręża i krzykach ludzi, które tak często dręczyły go w nocnych koszmarach. Jej dotknięcie łagodziło ból płonącego w gorączce ciała i przynosiło błogie ukojenie udręczonym zmysłom.

ROZDZIAŁ TRZECI

Usiadł na sienniku i odrzucił derki, a jego biodra okrywał teraz tylko stary pled Gordona. Przez kilka dni i nocy Morgan pogrążony był w majakach wywołanych przez opium. Ilekroć się budził, tylekroć Lindsay właśnie wybierała się lub wracała z wyprawy do odległych wsi albo na place nieustannie toczących się w okolicy bojów. Morgan z podziwem patrzył, jak od świtu do późnej nocy dziewczyna uwija się, by choćby jeszcze o dzień dłużej utrzymać rodzinę przy życiu.

Przy tym, mimo dolegliwego ubóstwa, zachowywała zdumiewającą pogodę ducha. Nigdy nie zabrakło jej czasu, by przytulić Brocka lub pocałować małą Gwen. Zawsze też pamiętała o tym, by przynieść ojcu jakiś drobiazg, który poprawiłby mu nastrój i pozwolił choć na chwilę zapomnieć o niesprawnych nogach i kłuciu w płucach.

Podczas przymusowej bezczynności Morgan przemyślał całą sprawę i, by nie zawstydząć pełnych godności biedaków, którzy ocalili mu życie, postanowił nie przyznawać się, że jego ojciec jest panem tych ziem. Na razie więc przyjął ich gościnę, aby potem wynagrodzić im trudy i troskę najhojniej, jak będzie potrafił. Żałował, że podczas bitwy tak lekko rozstał się z trzosem pełnym złota, które ulżyłoby doli tych biedaków.

- Oho, Morgan, widzę, że już starcza ci sit, żeby usiąść.

- Gordon Douglas wszedł do chaty i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. - A stanąć dasz radę, mój chłopcze?

- Chyba tak.

MacLaren z widocznym wysiłkiem podniósł się na nogi, ale zaraz musiał się oprzeć o kominek, by odczekać, aż przestanie mu się kręcić w głowie.

- Dobrze - pochwalił go starszy mężczyzna - a teraz chodź, posiedzimy trochę na słońcu.

Morgan powoli wyszedł za Douglasem przed chatę. Potem obaj usiedli na trawie i oparli się plecami o zwalony pień drzewa.

Chwilę później na podwórko wróciły dzieci. Brock dźwigał w każdej ręce wiadro wody. Morgan pomyślał, że podołanie takiemu ciężarowi sprawiłoby trudność nawet dorosłemu mężczyźnie. Idąca obok chłopca Gwen z wielką ostrożnością niosła coś w fartuszkach.

Dzieci zdawały się zaskoczone, widząc Morgana przed domem.

- Lindsay sądziła, że jeszcze przez tydzień nie będziesz mógł wstać z łóżka! - zawołał Brock.

Morgan uśmiechnął się.

- Nie wybieram się nigdzie daleko, ale przynajmniej nie będę sprawiał wam już tyle kłopotu.

- I jak ci poszło zbieranie ziół, dziewczyno? - Douglas zwrócił się do wnuczki.

- Znalazłam wszystko, o co prosiła Lindsay. Zioła na maści lecznicze. Na gojenie ran i na reumatyzm dla wdowy Chisholm.

- Nawet nie wiem, kiedy ta dziewczyna właściwie sypia

- westchnął starszy mężczyzna. - Brock, jak zanieziesz wiadro, przynieś fajki i tytoń.

- Dobrze, dziadku. - Chłopiec zaniósł wodę i chwilę później wrócił przed dom, spełniając prośbę Gordona.

Starszy mężczyzna nabił fajki i jedną z nich podał Morganowi. Potem obaj przypalili tytoń od płonącej szczapki, którą przyniósł z kominka Brock.

Gordon Douglas głęboko się zaciągnął, oparł o pień i z westchnieniem zadowolenia wypuścił dym z płuc. Morgan uczynił to samo, wzruszony hojnością swego gospodarza.

Brock przykucnął obok dziadka, chwilę później dołączyła do nich Gwen. Siedzieli w pogodnym milczeniu, wystawiając twarze do bladego jesiennego słońca. Potem Gordon zaczął uczyć dzieci liter, które pisał palcem na piasku.

- Nie wiedziałem, że potrafisz pisać - odezwał się Morgan.
- Pisanie to cenna sztuka. Kto umie pisać, może przesłać wiadomość. Dlatego nauczyłem Lindsay i dzieci abecadła.

MacLaren nie przeszkadzał im więcej w lekcji. Grzał się w promieniach słońca, podczas gdy Gordon uczył wnuki pisać. Kiedy lekcja dobiegła końca, starszy mężczyzna obrócił się do niego.

- Od jak dawna jesteś wojownikiem, Morganie MacLarenie?
- Od czternastego roku życia.
- Wcześniej zaczęłaś - przyznał Gordon Douglas.
- Matka, Boże miej litość dla jej duszy, prosiła mnie, bym zaczekał jeszcze rok, ale coraz więcej najeźdźców wdzierało się w granice kraju. Nie mogłem się doczekać, kiedy zaczną walczyć przeciw nim, tym bardziej że ciężko poranili w bitwie mego ojca.

Siedzący obok mężczyzna ciężko westchnął.

- Wiem, jak to jest, chłopcze. Sam też rwałem się do walki z wrogami. Walczyłem u boku mego ojca, a nawet u boku naszego lorda.
- Walczyłeś u boku mego... naszego pana? - Morgan przyjrzał się uważnie siedzącemu obok mężczyźnie.
- Kiedyś stałem na czele całego naszego klanu. Należeliśmy do dumnego rodu i od dawna byliśmy sojusznikami MacLarenów. Dzięki temu, że nawzajem sobie pomagaliśmy, udało nam się obronić naszą ziemię przed obcymi. Podczas wielkiego najazdu było tak samo, tylko nie mieliśmy pojęcia, jak wielu tym razem będzie wrogów. - Gordon położył dłoń na udzie. - To właśnie wtedy mi się to przydarzyło. Kiedy bitwa dobiegała końca, nie mogłem już ustać na nogach, tyle miałem ran, ale wciąż mogłem walczyć z siodła. I walczyłem u boku pana MacLarena, dopóki napastnicy nie ustąpili z placu boju. Nasz pan powiedział wtedy, że bez naszej pomocy nie wygrałby bitwy, i dał słowo, że będzie bronił nas po kres naszego życia.
- Czy dotrzymał słowa? - spytał Morgan.
- Tak. Niebu niech będzie chwała. - Gordon ściszył głos. - W tamtej bitwie zginęła ponad połowa wojowników z mego klanu. Inni mężczyźni byli równie okaleczeni jak ja i wiedzieliśmy, że nigdy więcej nie będziemy mogli walczyć. Bez pomocy MacLarenów już dawno nic by z nas nie zostało. Kiedy wróciliśmy do domów, w górach słychać było jedynie płacz wdów i sierot. A my dopiero po jakimś czasie zrozumieliśmy, że ci, którzy zginęli w bitwie, mieli więcej szczęścia od tych, którzy przeżyli. - Mimo że wydarzenia, które wspominał, zdarzyły się przed laty, w ściszym głosie Gordona pobrzmiwał ból. - Gdy wróciłem z pola bitwy, większość moich najbliższych nie żyła, zabili ich uciekający najeźdźcy. Zginęła moja żona, syn i synowa, zabiliby także Lindsay i tych dwoje, gdyby nie zdołali się w porę ukryć. Dzieci przysunęły się bliżej do dziadka. Morgan uświadomił sobie, że sama

wzmianka o tych strasznych wydarzeniach wystarczyła, by na ich buziach pojawiły się ból i strach.

- Jak udało się wam przeżyć? - spytał chłopca.

- Lindsay porwała nas z łóżek i schowała się z nami w lesie - odpowiedział rzeczowo Brock. - Było nam zimno, nie mieliśmy nic do jedzenia i okropnie się baliśmy. Lindsay owijała nas w derki, pledy, we wszystko, co znalazła, lecz my i tak budziliśmy się w nocy i płakaliśmy. Tuliła nas wtedy i uspokajała, bo gdyby ktoś nas znalazł, mogłoby się to źle skończyć. Błakaliśmy się z Lindsay po lesie przez kilka miesięcy, zanim wrócił dziadek.

- Ile miała wtedy lat?

Gordon zastanawiał się przez chwilę.

- Nie mogła mieć więcej niż dwanaście. Wciąż nie mam pojęcia, jak jej się to udało, ale uratowała życie dzieciom swojego brata.

Morgan pomyślał, jak wyglądało jego własne życie, gdy miał dwanaście lat. Choć jak wszyscy chłopcy sposobił się do rycerskiego rzemiosła - fechtował mieczem i strzelał z łuku, prowadził gry wojenne i polował - jego dzieciństwo było szczęśliwe i pogodne. Na zamku jego ojca nigdy nie brakło żywności. Nawet zimą, gdy wracał do domu, wygrzewał się w ciepłe huczące na kominku ognia i wciągał smakowity zapach pieczonego na rożnach mięsiwa.

- Jak się wam udało przeżyć tę zimę, Brock? Chłopiec wzruszył ramionami.

- Kiedy robiło się ciemno, Lindsay zostawiała nas w kryjówce i wracała nad ranem, przynosząc jedzenie. Nigdy jej nie pytałem, skąd je brała, ale myślę, że tak jak teraz wędrowała po okolicznych polach bitew i wszystko, co udało jej się znaleźć, zamieniała we wsiach na żywność.

Dobiegł ich tętent kopyt. Na drodze pojawił się samotny jeździec.

- To Lindsay! - Gwen zerwała się z miejsca i wybiegła naprzeciw ukochanej ciotce.

Dziewczyna pochwyciła małą, posadziła przed sobą na siodle i podjechała bliżej domu.

- Co nam dziś przywozisz? - spytał ojciec.

- Niestety, niezbyt wiele.

Zsunęła się z siodła i zaczęła rozplątywać rzemienie, którymi obwiązane były tłumoki przytroczone do końskiego grzbietu.

- Znalazłaś jakąś broń? - dopytywał się gorączkowo chłopiec. - Jakieś skarby?

- Nie, Brock. Może jutro pójdzie mi lepiej. Zajmij się koniem - poprosiła miękko chłopca. - Nakarm go i napój. A ty chodź ze mną, Gwen, pomożesz mi zrobić coś do jedzenia. Najwyższa pora wziąć się do pracy.

Morgan bez słowa przyglądał się Lindsay. Choć uśmiechała się do wszystkich i cierpliwie odpowiadała na każde pytanie, blada cera i podkrążone oczy zdradzały, że goni resztkami sił.

Właściwie nie było się czemu dziwić. Ta samotna, szczupła dziewczyna utrzymywała przy życiu dwoje dzieci i niedołęznego ojca. A teraz dodatkowym brzemieniem stał się jeszcze on.

MacLaren zastanawiał się, skąd dziewczyna czerpie energię, i postanowił, że w miarę możliwości postara się jej ulżyć.

Słońce schowało się za chmurami. Pochłodziło. Morganem wstrząsnął dreszcz.

Powoli podniósł się, a potem pomógł stanąć na nogi Gordonowi Douglasowi. Kiedy dotarli do chaty, powitał ich smakowity aromat pieczonego na ogniu mięsa i piekącego się na rozżarzonych węglach chleba. Mac-Laren poczuł, że wraca mu apetyt. Starszy mężczyzna opadł na krzesło.

- Czy zechcesz nam towarzyszyć przy stole, Morganie MacLarenie? - spytał.

- Tak, chętnie.

Zajął wskazane miejsce, a potem spojrzał na Lindsay, która postawiła pośrodku stołu płaską misę z dziczyzną i deskę z kawałem chleba, a na koniec przyniosła imbryk z herbatą.

Kiedy Lindsay chciała poczęstować go mięsem, ku jej zaskoczeniu wyjął z jej rąk misę.

- Poradzę sobie, pani. Usiądź i napełnij najpierw własny talerz.

Gwen patrzyła na niego wielkimi oczami.

- Przemawiasz do naszej Lindsay, jakby była prawdziwą królową.

- Lindsay znaczy dla mnie więcej od królowej - odpowiedział. - Gdyby nie ona, nie byłoby mnie wśród żywych.

Dziewczyna zarumieniła się po korzonki włosów.

Usiadła obok Morgana. Na krótką chwilę ich uda zetknęły się ze sobą pod stołem i Lindsay zrobiło się przyjemnie ciepło.

Morgan podsunął jej misę z mięsem. Nie podnosząc oczu, nałożyła sobie kawałek i poczekała, aż wszyscy napełnią talerze i zmówią modlitwę.

Morgan skosztował kęs mięsa i westchnął zachwycony.

- Cudowne. Nie pamiętam już, kiedy jadłem ostatnio równie znakomitą pieczeń. Jest taka soczysta i delikatna. Jak tego dokonałaś, Lindsay?

- Nic szczególnego nie zrobiłam. Przyrządziłam mięso tak, jak nauczyła mnie matka.

- Wobec tego twoja matka musiała się nauczyć sztuki gotowania od aniołów niebieskich. Nigdy nie sądziłem, że na tym świecie trafi mi się jeszcze taka uczta.

Lindsay, widząc zdumione spojrzenia dzieci, spuściła wzrok.

- Tak ci się tylko zdaje, bo od dawna niczego nie jadłeś, Morganie MacLarenie.

- Nie - pokręcił głową. - Jadałem w najwspanialszych zaniakach i w bogatych miastach. Byłem na uczenie nawet u samej królowej w Holyrood House. Nigdzie jednak nie podano mi lepszego jedzenia.

- Byłeś w Edynburgu? - Zdumiony Brock szeroko otworzył usta.

Morgan za późno ugryzł się w język.

- Byłem.

- Co tam robiłeś? - Chłopiec zapomniał o jedzeniu. Inni również wpatrywali się w niego, bardzo zaintrygowani.

- Nasz klan, jako pierwszy z całej Szkocji, złożył królowej przysięgę wierności. Za to, że jako pierwsi stanęliśmy przy niej, zaprosiła nas do Edynburga.

- I jak tam było? - Zwykle tak nieśmiała, Gwen tym razem nie ukrywała, że płonie z ciekawości.

- Miasto jest bardzo wielkie. - Morgan mrugnął do dziewczynki, co sprawiło, że mała oblała się rumieńcem. - A królowa... To naprawdę niezwykle zobaczyć na

własne oczy monarchinię. Ale ulice w Edynburgu są brzydkie. Pełno na nich przekupniów, koni, wozów i powozów. Wszędzie jest mnóstwo ludzi i wielu z nich ubiera się jak Anglicy. Dużo bardziej podoba mi się u nas w górach.

- Jak wygląda twój dom? - Gwen była najwyraźniej oszołomiona odkryciem, że ich gość jest światowcem.

- Ani mój dom, ani jedzenie nie może się nawet równać z tym, czym poczęstowała mnie dziś twoja ciotka.

Dzieci zachichotały. Lindsay zarumieniła się poraz wtóry.

Chcąc ukryć zmieszanie, wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Gwen, zanim pójdziesz spać, pomóż mi.

- Dobrze. - Mała zerwała się od stołu, zebrała puste talerze i zaniósła do Lindsay, która zmywała je w ciepłej wodzie, czerpanej ze stojącego na piecu sagana.

- Chodź, Morganie MacLaren. - Gordon Douglas wskazał gościowi stojącą przed kominkiem ławę.

Podczas gdy Morgan prznosił się na nowe miejsce, Gordon nalał do kubków wino i pokuśtykał do kominka. Jeden kubek podał Morganowi, a z drugiego sam pociągnął łyk wina. Usiadł na ławie, rozparł się wygodnie i wyprostował nogi, tak by ogrzać okaleczone, zeszytywniałe od ran mięśnie.

- Niewiele powiedziałeś o swojej rodzinie. MacLaren pociągnął łyk wina i zapatrzył się w ogień.

- Moja matka umarła, gdy byłem na wojnie. Nigdy nie przestanę żałować, że nie było mi dane jej zobaczyć przed śmiercią.

- Wiem, chłopcze, jak to boli. - Gordon zasępił się na myśl o własnej rodzinie. - A co z twym ojcem? Czy jest mężnym rycerzem?

- Tak, panie. I podobnie jak ty, ma całe ciało pokryte bliznami po ranach, które odniósł w walce z najeźdźcami. Nie jest już taki silny jak kiedyś, ale gdyby trzeba było, i dziś potrafiłby stanąć do boju - odpowiedział Morgan z wyraźnym szacunkiem w głosie. - Choć wielu mam przyjaciół, żaden nie znaczy dla mnie tyle co ojciec. Jest moim wzorem, nauczycielem i przyjacielem.

Starszy mężczyzna spojrział na niego życzliwie.

- Gdyby mój syn jeszcze żył, niczego nie pragnąłbym bardziej, niż usłyszeć taką pochwałę z jego ust.

Gordon opróżnił kubek i pokuśtykał do drabiny prowadzącej na strych. Po drodze podszedł do córki, pochylił się nad nią i pocałował w policzek.

Zaskoczona uniosła głowę.

- Za cóż to, ojczy?

- Za wszystko, co dla nas robisz, Lindsay. Wstyd mi, bo byłem tak ślepy, że gdyby nie przypomniał mi o tym Morgan, pewnie nigdy bym nie pomyślał o tym, jak wiele ci zawdzięczamy. - Gordon Douglas spojrział na zdumione dzieci i w jego głosie znów pojawiła się bardziej szorstka nuta. - Pomóżcie mi wdrapać się na strych.

- Chodź, dziadku.

Dzieci życzyły Lindsay i Morganowi dobrej nocy i wspięły się za Gordonem po drabinie. Po drodze Gwen odwróciła się, by pomachać swojej opiekunce.

Lindsay i Morgan zostali na dole sami. Przez długą chwilę siedzieli bez słowa. Dziewczyna uniosła wzrok i spojrziała na młodego rycerza. Miał poważną, skupioną

minę.

- Czy chcesz jeszcze wina?

Pokręcił głową i z trudem ułożył usta w uśmiech.

- Dziękuję, nie.

Lindsay na pozór nie zwracała uwagi na nic poza skarpetką, którą robiła dla bratanka, ale wyraźnie czuła na sobie spojrzenie mężczyzny.

- Nieustannie pracujesz, Lindsay.

- Taka to tam i praca - zbyła go nieporadnie, a gdy poczuła, że jego palce delikatnie gładzą jej loki, z wrażenia zgubiła oczko.

- Kiedy odpoczywasz?

- Gdy nie mam już sił do pracy.

Nie chciała się skarżyć, lecz nie potrafiła się powstrzymać. Uniosła wzrok i spojrzała Morganowi w oczy.

Miał taką minę, że aż się przestraszyła. Wpatrywał się w nią jak zaczarowany.

- Muszę... - Zerwała się na równe nogi.

Wełna i druty upadły na podłogę. Zakłopotana przykucnęła, żeby wszystko pozbierać, ale w tej samej chwili Morgan opadł obok niej na kolana.

Lindsay zaśmiała się nerwowo.

- Zwykle nie jestem taka niezgrabna.

- Lindsay... - Morgan wziął dziewczynę w ramiona i poczuł, że natychmiast zeszywniała.

Spojrzała na niego wystraszona i zmieszana, a potem szybko odwróciła głowę.

- Nie bój się na mnie patrzeć. - Delikatnie ujął ją pod brodę, nakłaniając, by spojrzała mu w oczy.

- Nie możesz.

- Cśś - szepnął i przyciągnął ją do siebie tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na skroni. - Pragnę tylko skosztować twoich ust. Pozwól mi, proszę cię, pani, bo odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem, o niczym innym nie marzę.

- Aleja...

- Czy naprawdę odmówisz umierającemu z pragnienia?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zaskakująco miękkie i delikatne usta Morgana opadły na jej wargi - lekko jak podmuch wiatru. Poczuł, że dziewczyna gwałtownie odetchnęła, i powstrzymał pragnienie, by przytulić ją z całych sił i namiętnie całować, dopóki się nią nie nasyci. Za nic nie chciał jej jednak przestraszyć.

Lindsay czuła, że całe jej ciało ogarnia przyjemne ciepło. Krew żywiej krążyła w jej żyłach, w głowie cudownie zaszumiło. Jeszcze przed chwilą zerwałaby się i uciekła, gdyby tylko ciało nie odmówiło jej posłuszeństwa, lecz teraz było już za późno. Choć dłonie Morgana były równie łagodne jak jego usta, Lindsay brakło sił, by uwolnić się z ich uścisku. Wszystko, co mogła zrobić, to klęczeć przed kominkiem w objęciach młodzieńca, któremu ocalała życie, i wsłuchiwać się w trudne do zrozumienia sygnały napływające z głębi jej własnego ciała. Czuła dziwne drżenie, jakby nagle we wszystkich jej członkach rozfruwały się motyle, szukające drogi ku wolności. I rozkoszowała się pragnieniem, którego nawet nie umiała nazwać.

Morgan uniósł głowę i zobaczył, że policzki i szyję Lindsay pokrył rumieniec. W jej oczach ujrzał jednak coś daleko ciekawszego. Oto był świadkiem, jak w dziewczynie

budziła się namiętność.

Niezgrabnie podniosła się z podłogi. Modliła się, by nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa, ale nic jej to nie pomogło i musiała przytrzymać się oparcia ławy.

- Dobrej nocy, Morganie MacLarenie - powiedziała z trudem.

- Życzę ci tego samego, Lindsay Douglas.

Gdy ruszyła w kierunku drabiny, podniósł sprzed kominka zapomniany kłębek wełny.

- Lindsay...

Zebrała spódnice w garść i czym prędzej uciekła na strych.

Zanim zniknęła, Morgan z przyjemnością rzucił okiem na zgrabne kostki, które na chwilę wyłoniły się spod burej, szorstkiej wełny, oraz podziwiał cudowne ruchy krągłych bioder wspinającej się po drabinie dziewczyny.

Powoli wypuścił powietrze i odkrył, że drżą mu ręce. Odłożył wełnę i druty na ławę, a potem wrócił na swój siennik.

Wiedział, że sen nieprędko przyjdzie do niego tej nocy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy Lindsay zeszła po drabinie ze strychu, nad horyzontem rozjarzyły się właśnie pierwsze barwy świtu. Od dawna już nie spała. Nieustannie powracało do niej wspomnienie pocałunku, jakim obdarzył ją Morgan MacLaren. Jeszcze nigdy w

ciągu jej osiemnastoletniego życia nie wydarzyło się nic podobnego.

Rzuciła okiem na pogrążoną w cieniu ławę, na której spał Morgan. Gdy nie dostrzegła żadnych oznak ruchu, szybko przeszła na palcach przez izbę do drzwi. Nacisnęła klamkę i znalazła się na zewnątrz.

Lindsay zbiegła boso, w futrze narzuconym na koszulę nocną, nad porośnięty drzewami brzeg potoku. Kiedy znalazła się nad wodą, zrzuciła futro z ramion i przewiesiła przez gałąź, a potem ściągnęła przez głowę koszulę i rzuciła ją na futro obok płóciennego ręcznika. Bez wahania weszła do zimnej wody i szybko namydliła ciało, a potem pochyliła się, by zmoczyć włosy. Mimo że drżała z zimna, zdecydowanie brnęła w cieniu drzew do miejsca, gdzie potok stawał się głębszy. Zanurkowała, by spłukać mydło. Kilka sekund później wynurzyła się spod wody i potrząsnęła głową. Włosy zawirowały wokół jej głowy, rozsiewając dokoła tysiące drobnych kropelek, i jak jedwabisty welon opadły na ramiona. Skulona z zimna, szybkim krokiem ruszyła do brzegu.

Osuszyła się ręcznikiem, a potem schyliła się, zebrała włosy w ręcznik i owinęła nim głowę. Gdy wyprostowała się, by sięgnąć po koszulę nocną, zamarła na widok stojącego w cieniu drzew mężczyzny.

- Morgan - Z trudem chwyciła oddech. - Co ty tu robisz?! Nie zauważyłam... - Urwała i jakby dopiero teraz uświadomiła sobie własną nagość, pośpiesznie sięgnęła po futro i ściśle się nim owinęła.

- Sam dopiero co wyszedłem z potoku i tak byłem zajęty sobą- bronił się- że nie widziałem, kiedy nadeszłaś.

Lindsay dostrzegła, że włosy i kędzierzawe piersi Morgana lśnią jeszcze od kropelek wody. Przerzucony przez ramię pled sięgał zaledwie do pasa, zasłaniając wprawdzie płaski brzuch, lecz pozostawiając odsłonięte biodra.

Dziewczyna znów poczuła niepokojący, nie znany jej dotąd żar w całym ciele. By ukryć zakłopotanie, zadarła wojowniczo podbródek.

- Ale też nic nie zrobiłeś, by uprzedzić mnie o swojej obecności. Co gorsza, zamiast odejść, jak uczyniłby człowiek szlachetny, zostałeś nad potokiem! - przemówiła zaskakująco szorstko.

- Tak, Lindsay. - Wyczuła w jego głosie z trudem skrywane rozbawienie. - Oczywiście, pani, masz całkowitą rację, ale nie możesz mnie winić, że zostałem. Żaden mężczyzna nie umiałby się wyrzec tak pięknego widoku.

Zgromiła go wzrokiem.

- Obrażasz mnie, Morganie MacLarenie, sądząc, iż dla twojej zabawy robiłam to wszystko. Czy masz mnie za bez-wstydnicę, która obnaża się przed mężczyznami?

Morganowi odechciało się śmiechu. Nie znał jeszcze Lindsay od tej strony. A co dziwniejsze, jej szczere i nie skrywane oburzenie podobało mu się nie mniej od jej zwykłej słodyczy

i łagodności. Płonął w niej ogień i Morgan czuł, że blask i żar tego płomienia przyciąga go coraz mocniej.

Chciała odejść, ale w ostatniej chwili złapał ją za rękę. Spojrzała na niego gniewnie.

- Przepraszam, że cię uraziłem, Lindsay. Nie żałuję jednak, że miałem okazję cię podziwiać. Ani tego, co teraz zrobię.

- Co?

Morgan uniósł jej dłoń do ust i pocałował. Mniej byłaby zaskoczona, gdyby ją uderzył. Dotknięcie jego warg sprawiło, że przebiegł ją cudowny dreszcz.

Wykorzystując zaskoczenie dziewczyny, Morgan obsypał pocałunkami wnętrze jej dłoni, nadgarstek i przedramię. Potem przyciągnął ją bliżej, a jego wargi przeniosły się na jej skroń.

- Wybacz, pani, ale nie mogłem się oprzeć pokusie skosztowania twoich ust. Twój wczorajszy pocałunek rozniecił we mnie ogromne pragnienie.

Wargi Morgana wędrowały po policzku Lindsay, zbliżając się do kącika jej ust. I choć mówiła sobie, że powinna go odepchnąć, prawda była taka, że nie mogła się ruszyć. Z bijącym sercem stała więc nieruchomo, podczas gdy język Morgana obwiodł wokół zarys jej ust.

Wstrzymała dech. Serce w niej zamarło. I w tej samej chwili wiedziała, że jeśli Morgan jej wreszcie nie pocałuje, to oszaleje.

Gdy to nastąpiło, westchnęła z rozkoszy. Przytulił ją mocno, a ich języki splotły się w nienasyconym pocałunku. Lindsay przestała o czymkolwiek myśleć i zatraciła się bez reszty w namiętności.

Morgan walczył ze sobą, ale nie potrafił się oprzeć wzbierającemu w nim pragnieniu. Nakrył usta Lindsay swoimi. Jej westchnienia były tak nieopisanie podniecające.

Dłonie Morgana zbłądziły pod futro dziewczyny. Kiedy wyczuł jędrną krągłość jej piersi, Lindsay poruszyła się raptownie.

Wielkie nieba, co się z nią dzieje? Jeszcze przed chwilą drżała z zimna, a teraz było jej tak gorąco, jakby wyszła z łaźni. Ale jeszcze silniejszy ogień płonął w jej wnętrzu. Całe jej ciało zrobiło się miękkie jak z wosku. W uszach słyszała ogłuszające dudnienie własnego pulsu.

Z trudem odzyskała oddech. Miała zbyt ściśnięte gardło, by móc oddychać. A na dodatek wzbierało w niej również inne uczucie, którego na razie jeszcze nie umiała nazwać. Dziwne pragnienie, by ułożyć się u boku całującego ją mężczyzny i pozwolić mu na wszystko, czego by tylko zapragnął.

Gdyby tylko mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Wystraszona krzyknęła i odepchnęła Morgana.

- Nie! Przestań! Nie mogę pozbierać myśli.

Uniósł głowę i westchnął głęboko, z trudem odzyskując panowanie nad wzbierającą w nim namiętnością. Jeszcze nigdy w życiu nie kosztował niczego, co mogłoby się równać ze słodyczą ust Lindsay.

- Za daleko się posuwasz, Morganie MacLarenie. Wykorzystałeś bez skrępowań chwilę mojej słabości.

- Doprawdy? - Upojony pocałunkami, nie zastanawiał się, co mówi. - Z tego, jak odpowiadałaś na moje pocałunki, wywnioskowałem, że również ich pragniesz.

Jego niebaczne słowa sprowadziły Lindsay na ziemię. Zadarła dumnie brodę i otuliła się futrem.

- No cóż, myliłeś się. Udało ci się skorzystać z chwili mojej nieuwagi, ale nie radzę ci próbować tego więcej.

- Zapamiętam twoje słowa, pani.

Patrzył na nią z podziwem. Była taka drobna, a zarazem niezwykle wojownicza i pociągająca. Przytulił ją mocno i kiedy jej twarz znalazła się zaledwie o parę

milimetrów od jego twarzy, uśmiechnął się i spojrzał jej prosto oczy.

- Pani, zapewniam, że następnym razem, zanim cię pocałuję, nie zapomnę poprosić o pozwolenie. Czy to chciałaś usłyszeć?

- Czy to chciałam...

Nie miała pojęcia. Była zła i zmieszana. A przede wszystkim - podniecona. To właśnie budziło w niej najsilniejszy lęk.

- Pytasz, czego chciałam? Chcę, żebyś zapanował nad swą żądzą, Morganie MacLarenie.

Znienacka pchnęła go z całych sił. Zaskoczony, poślizgnął się na mokrej ziemi na brzegu strumienia i stracił równowagę. Jeszcze przez chwilę komicznie wymachiwał rękami, po czym wpadł z głośnym pluskiem do wody.

Podczas gdy Morgan mamrotał coś gniewnie pod nosem, Lindsay pośpiesznie ruszyła ścieżką prowadzącą do chaty. Kiedy już znalazła się przed drzwiami, obejrzała się za siebie. Morgan wygramolił się już ze strumienia i kuśtykał w kierunku domu. Poczowała wyrzuty sumienia, ale odwróciła szybko głowę i weszła do domu. Nie ma powodów, by użalać się nad Morganem MacLarenem.

Mężczyzna, któremu starcza siły, by wzbudzić w niej grzeszną żądzę, z pewnością da sobie radę, pomyślała.

- Wcześniej dziś wstałaś, Lindsay - odezwał się ojciec znad miski z owsianką.

- Tak - odpowiedziała krótko, napełniając miskę Gwen. Morgan siedział skulony przed kominkiem, owinięty

w derkę. Na oparciu ławy suszył się pled. Do izby wszedł Brock z wiaderkiem w ręku.

- Znalazłem to nad potokiem. - Chłopiec wyciągnął dłoń, w której trzymał koszulę nocną Lindsay.

- Zapomniałam ją zabrać.

Niemal wyrwała mu koszulę. Kiedy się odwróciła, Morgan uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

Gordon Douglas popatrywał to na swoją córkę, to na rannego wojownika. Jasno widział, że między nimi coś zaszło, ale nie miał pewności co.

- Czy nie siądziesz z nami do śniadania? - zwrócił się do Morgana.

Na widok rumieńców na policzkach Lindsay MacLaren poweselał. Jednak czuła się trochę winna. Może jeszcze uda mu się wyrównać rachunki za nieoczekiwaną kąpiel w potoku.

Wstał i pokuśtykał do stołu.

- Zasiądem i to z chęcią. Z dnia na dzień rośnie mi apetyt. Nie chcąc wprowadzić Lindsay w większe zakłopotanie, sam napełnił swoją miskę owsianką.

Dziewczyna odwróciła się od niego i zaczęła nalewać wodę do kubków.

- Chcesz herbaty, ojczu?

Gdy kiwnął głową, postawiła przed nim kubek. Potem bez słowa postawiła drugi przed Morganem.

Kiedy już wreszcie musiała przy nim usiąść, postanowiła nie zwracać na niego najmniejszej uwagi. Rozmyślnie odwróciła głowę do ojca.

- Heywood zaproponował mi za konia trzynaście sztuk złota.

- Za konia?! - zirytował się starszy mężczyzna. - Nie oddasz mu chyba konia, dziewczyno. Odkąd go mamy, nasze życie zmieniło się na lepsze.

- Sama nie wiem, ale na pewno nie oddam go za trzynaście sztuk złota. Heywood musiałby dorzucić co najmniej drugie tyle.

- Jakbyś dorzuciła całusa, na pewno chętnie by zapłacił każdą cenę! - zaśmiał się Brock.

- Trzymaj język za zębami! - ofuknęła chłopca Lindsay. Brock zmieszał się, zaskoczony tym nagłym napadem złości.

Natychmiast pożałowała swoich słów, ale napotkała wzrok Morgana i czym prędzej odwróciła się do ojca.

- Pomyśl tylko, co moglibyśmy wtedy kupić, ojcze. Przede wszystkim cukier i miód. Mając cukier i miód moglibyśmy sobie upiec pierniki i pudding.

- A na co nam tyle przysmaków?

- Już niedługo Wigilia. Przypomniały mi się te wszystkie pyszności, które piekła na Boże Narodzenie mama. Kiedy byłam dzieckiem, Boże Narodzenie było zawsze takim radosnym świętem. - Lindsay rzuciła wzrokiem na siedzące naprzeciw niej dzieci. - Chciałabym, żeby Gwen i Brock także zapamiętali Wigilię jako dzień szczególnie pogodny i szczęśliwy.

- Nie mów bzdur, Lindsay. - Starszy mężczyzna odsunął nie dojezoną owsiankę, jakby nagle stracił apetyt. - Wtedy byłem młody i stałem na czele silnego klanu. Te czasy minęły i już nigdy nie wrócą.

- Ale złoto...

- Niech diabli porwą złoto! - Gordon Douglas gwałtownie odsunął zydę. - Od lat wędrówki do wsi i z powrotem zajmowały ci większość dnia. Przypomnij sobie tę zimową noc, gdy omal nie zamarzałaś po drodze. Ile jest dla ciebie warte własne życie?

Pokręcił głową, nim jeszcze zdążyła otworzyć usta, by mu odpowiedzieć.

- Heywood dobrze wie, że koń jest wart dwa razy więcej, niż ci za niego proponuje. Poza tym Brock ma rację. Wszyscy wiemy, że Heywoodowi nie chodzi o konia - powiedział, podnosząc się od stołu.

Lindsay zaczerwieniła się, ale nic nie powiedziała. Bez słowa wstała, pozbierała naczynia i zaczęła zmywać. Kiedy skończyła, zarzuciła opończę i nakryła głowę kapturem.

- Dokąd się wybierasz? - spytał ojciec.

- Słyszałam, że koło Glen Lowe była bitwa. Może coś jeszcze znajdę. - Spojrzała wymownie na Morgana. - Na przykład jakieś odzienie dla naszego gościa, żeby widok jego ran nie urzął mojej czci.

Morgan odpowiedział Lindsay spojrzeniem, które jeszcze bardziej ją wzburzyło.

- A może trafi mi się jakiś oręż, za który zrobię zakupy we wsi. Kto wie? Jeśli znajdę drugiego konia, będziemy mieli jedno i drugie, środek transportu i prawdziwą Wigilię.

Zaskoczony zachowaniem córki, ojciec pokuśtykał za nią przed dom. W chwilę później rozległ się stukot kopyt i zapadła cisza.

Morgan spojrzał pytająco na chłopca.

- Kto to jest Heywood?

- Heywood Drummond.

Brock wypowiedział to imię z obrzydzeniem i niechęcią. Takim samym gestem jak dziadek odsunął miskę z nie dokończoną owsianką, co świadczyło, że jest poważnie zmartwiony.

- To bogaty człowiek?

- Tak. Najbogatszy we wsi. Jest wdowcem, ale niektórzy mówią, że zatłukł żonę na śmierć. I wszyscy wiedzą, że chce prosić o rękę Lindsay i że chciałby wziąć ją za żonę w Wigilię Bożego Narodzenia, bo ksiądz przyjeżdża do wsi tylko raz do roku, na święta. Jeśli Lindsay dałaby mu kosza, Heywood musiałby czekać cały rok, zanim mógłby się z nią ożenić.

- A... - gardło Morgana ścisnął nagły niepokój. - Czy twoja ciotka skłonna jest przyjąć jego oświadczenia?

Gwen zachichotała. Brock popatrzył na siostrę i po chwili sam także się roześmiał.

- Lindsay mówi, że Heywood Drummond wygląda jak ropucha.

Morgan odetchnął z ulgą. Pociągnął łyk herbaty.

- Lindsay nie dba o majątek Drummonda?

Dzieci śmiały się jeszcze, ale w oczach Brocka pojawił się cień. Głos chłopca również zdradzał niepokój.

- Zima jest dla dziadka najgorszą porą roku. Niedługo zaczną go męczyć napady kaszlu i nie będzie miał sił, by wspinać się po drabinie na strych. Z roku na rok jest z nim gorzej. Lindsay mówiła, że u Heywooda piece nigdy nie stygną.

Na widok niedowierzania i lęku w oczach siostry chłopiec zmienił ton.

- Może Lindsay przywiezie jeszcze jakieś skarby z pobojuwiska. - Brock wstał od stołu. - Albo może znajdzie nas tu w lesie święty Mikołaj i wydarzy się jakiś cud.

- Naprawdę tak myślisz, Brock? - Oczy Gwen rozjaśniła radość.

Chłopiec wzruszył ramionami i odwrócił się, by ukryć przed siostrą własne wątpliwości.

- Pamiętaj sama, co nam zawsze mówi Lindsay. Kto modli się i pracuje, temu niczego nie brakuje.

Dziewczynka złożyła ręce i zamknęła oczy.

- Mamy jeszcze robotę, Gwen ~ przypomniał siostrze Brock.

- Tak, wiem, ale najpierw chcę się przez chwilę pomodlić.

- Zdążysz się pomodlić, gdy zrobi się ciemno.

Kiedy dzieci wyszły, Morgan pozostał przy stole. Długo siedział zamyślony nad kubkiem z herbatą. Nienawidził Heywooda Drummonda. Wiedział, że to zazdrość. Dopóki nie spotkał Lindsay, nigdy jeszcze nie zaznał tego uczucia. Teraz już wiedział, jak smakuje. Ale nie tylko zazdrość o mężczyznę, zabiegającego o względy Lindsay, była powodem jego ponurych myśli. Bardziej oburzało go, że Heywood Drummond tak bezwzględnie wykorzystuje swą przewagę w stosunku do bezradnej dziewczyny. I to takiej, która zasługiwała na los o wiele lepszy niż ten, jaki przypadł jej w udziale.

Morgan był tak niespokojny, że nie mógł usiedzieć w miejscu. Musiał coś zrobić. Wstał od stołu i zaczął krążyć po izbie, dopóki ból nie zmusił go do odpoczynku. Przeklinał własną bezsilność. Musi przezwyciężyć cierpienie. Przecież jest wojownikiem.

Znów stanął na nogi. Odczekał chwilę, a kiedy wewnątrz chaty przestało wirować mu przed oczami, podszedł do drzwi. Może jest jeszcze zbyt słaby, by zapolować na jelenia, ale z pewnością zdoła pochwycić jakąś drobniejszą zwierzynę lub nałowić ryb. Starczy mu także siły, by przynieść wodę i narąbać drewna.

Dopóki słabość przykuwa go do tego miejsca, powinien pomóc Lindsay w jej zmaganiach z rzeczywistością. Gotów był na wszystko, by ulżyć dziewczynie. Postanowił, że pomoże tej podziwu godnej istocie przetrwać najsurowszą porę roku, i zadba o to, by nie była zdana na łaskę i niełaskę Heywooda Drummonda.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Co tu się dzieje? - Lindsay weszła do domu i wciągnęła w nozdrza smakowity zapach świeżo upieczonego chleba.

Podeszła do pieca i uchyliła pokrywkę stojącego w żarze paleniska garnka. W gęstym sosie z aromatycznych ziół pływały kawałki mięsa. Z całej rodziny w domu była tylko Gwen, która nakrywała właśnie do stołu, i śpiący na ławie Gordon. Lindsay spojrzała pytająco na dziewczynkę.

- Czy to ty ugotowałaś obiad, Gwen? Mała pokiwała głową w geście zakłopotania,

- Tak i nie. To Morgan nauczył Brocka zastawiać sidła na króliki, a potem pokazał mi, jak udusić mięso w ziołach.

- A kto przygotował chleb?

- Morgan powiedział, że matka nauczyła go piec chleb, gdy był jeszcze dzieckiem. Teraz on nauczył nas tego samego.

Lindsay odetchnęła głęboko. Poczła niewymowną ulgę. Wróciła do domu przybita i zmęczona. Niczego nie przywiozła i przez całą drogę powrotną zastanawiała się, skąd weźmie siły, by przygotować coś do jedzenia. Czuła się tak, jakby Morgan zdjął z jej ramion ciężkie brzemie.

- A gdzie oni teraz są?

- Nad potokiem. Morgan uczy Brocka, jak przygotować skórę do garbowania. Pójść po nich, Lindsay?

- Sama to zrobię.

Przed wyjściem z domu spojrzała jeszcze raz na ojca. Gordon spał w ciepłe kominka z pogodną miną. Dziewczyna uśmiechnęła się i wyszła przed chatę. Błede zimowe słońce schowało się za horyzontem i na dworze szybko zapadał zmierzch. Lindsay zesła ścieżką nad potok. Mężczyzna i chłopiec klęczeli na brzegu, rozciągając mokrą skórę na płaskim kamieniu.

Tak byli zajęci, że nawet nie zauważyli zbliżającej się Lindsay. Zanim do nich podeszła, przyglądała im się przez chwilę. Morgan miał na sobie tylko pled. Jeden koniec owinał wokół bioder, a drugim okrył ramiona i plecy. Choć przesadą byłoby nazwać ten przyodziewek nieskromnym, to jednak dał Lindsay okazję podziwiania muskularnego ciała, które budziło w niej tyle niepojętych uczuć i emocji.

- Wojownik niczego nie może marnować, Brock. Mięso, którego nie zjesz, możesz uwędzić albo ususzyć. Podczas długiego oblężenia ocaleniem dla załogi może się okazać nawet mały zapas jedzenia. Jeśli związesz wylot żołądka, będziesz mógł go wykorzystać jako bukłak. A skórki nadadzą się na futro. Podczas wojny, gdy nieprzyjaciół jest blisko i nie można rozpalić ognia, futro pozwala przetrwać zimne noce.

- Z królika można zrobić co najwyżej czapkę - powiedział z powątpiewaniem chłopiec.

- Tak myślisz? A jeśli zszyjesz je razem? Wystarczy tuzin królików, żeby odziać ciepło swoją siostrę lub ciotkę. Nawet ze skrawków można zrobić rękawiczki lub onuce.

Brock energicznie pokiwał głową. Z podziwem wpatrywał się w każdy gest Morgana. Gdy dostrzegł kątem oka ciotkę, uniósł wzrok.

- Lindsay! Popatrz, czego mnie Morgan uczy.

- Widzę.

Poczła na sobie spojrzenie MacLarena i zrobiło jej się nieoczekiwanie gorąco.

- Jak myślisz, Lindsay, czy Gwen chciałaby futro z królików?

- Na pewno, nie marząby przez zimę. A gdyby to futro uszył jej brat, byłoby na pewno jeszcze cieplejsze.

Lindsay widziała, że chłopiec zamyślił się nad jej słowami.

- Chodźcie do domu. Nie wiem jak wy, ale ja jestem okropnie głodna.

- Widziałaś, co Morgan przygotował na kolację? - spytał chłopiec, gdy wspinali się

ścieżką w kierunku domu.

- Tak.

- Zdziwiłaś się?

- To była cudowna niespodzianka. - Lindsay odwróciła się do kuśtykającego za nimi mężczyzny. - Dziękuję.

Odpowiedział jej ciepłym uśmiechem. Gdy weszli do domu, zastali Gordona przy stole wraz z wnuczką. Kroił chleb, który podała mu Gwen. Po chwili starszy mężczyzna uniósł wzrok.

- Uważaj, dziewczyno, bo jak tak dalej pójdzie, ten wojownik nie zostawi ci nic do roboty.

Morgan zaśmiał się, słysząc te słowa.

- Nie wierz w to, Lindsay. Niczego więcej nie potrafię przyrządzić. Umiem tylko uduś mięso i upiec chleb.

- To starczy, by przeżyć - zauważył trzeźwo starszy mężczyzna.

- To prawda - przyznał MacLaren. - Ale cóż by to było za życie, gdyby nie było w nim większych przyjemności niż ciepła strawa. Osobiście wolę potrawy twojej córki, panie, niż własne.

Gordon z aprobatą skinął głową.

- Tu chętnie przyznam ci rację, Morganie MacLarenie. Co do mnie, wolę kuchnię Lindsay od całego złota Holyrood House.

Morgan spojrzał pytająco na starszego mężczyznę. Gordon zarumienił się i nieco powściągnął zapał.

- Mając całe złoto Holyrood House, może bym i jakoś wytrzymał bez posiłków Lindsay, ale musisz przyznać, że królewska kuchnia nie może się równać z tym, co gotuje ta dziewczyna.

- Do tego nie musisz mnie przekonywać, Gordonie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Napelnili talerze. Lindsay z przyjemnością patrzyła na najbliższych. Pomoc rannego rycerza była miłą niespodzianką. Dzięki niemu mieli co jeść przez najbliższe kilka dni. A ona mogła wreszcie zobaczyć coś, co ceniła sobie ponad wszystko na świecie ~ uśmiech na twarzy ojca.

Po kolacji mężczyźni usiedli na ławie, by zapalić fajki i wypić po kubku piwa. Lindsay i Gwen pozmywały naczynia. Gdy zapadł wieczór, dzieci z dziadkiem wspięły się po drabinie na strych.

Lindsay usiadła przy ogniu z robótką na drutach. Kątem oka dostrzegła, że Morgan rozciera ramię,

- Boli cię ręka?

- Nie - zaprzeczył z uśmiechem, ale Lindsay wiedziała swoje.

- Zanadto się dziś wysilałeś. Upolowałeś i oparwiłeś króliki, ugotowałeś obiad i upiekłeś chleb, a tymczasem powinieneś leżeć i wracać do sił. Jeszcze przed kilkoma dniami stałeś na krawędzi grobu. Za wcześnie się bierzesz do pracy, Morganie MacLarenie.

- Nie mogę znieść bezczynności. Poza tym rankiem z pewnością poczuję się lepiej.

- Jeżeli naprawdę tego chcesz, pozwól, że nałożę na twoje rany świeżą maść.

Lindsay odłożyła robótkę i wstała z ławy. W chwilę później wróciła ze słojem i

rzuciła na podłogę futro.

- Będziesz musiał przyjść tu do mnie, bliżej ognia, i obnażyć ramię.

Nie miał najmniejszego zamiaru się z nią spierać. Odwinął pled, przewiązał go wokół bioder i posłusznie ułożył się na podłodze.

Lindsay nabrała maść czubkami palców i przesunęła opuszkami po skórze leżącego przed nią wojownika. Natychmiast zrobiło jej się gorąco. Powtarzała sobie, że powinna patrzeć na Morgana jak na rannego rycerza, nie jak na mężczyznę.

Jednak z każdym ruchem coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że to po prostu niemożliwe. Nie umiała zapomnieć pocałunków, dzięki którym zrozumiała, że jest kobietą, a z czego do tej pory nie zdawała sobie sprawy. Wiedziała, że te cudowne chwile będzie pamiętać do końca życia.

Morgan posłusznie leżał na podłodze i rozkoszował się dotykiem Lindsay.

- Och, masz ręce delikatne jak anioł.

- Niedługo pożałujesz tych słów, bo rana zaraz zacznie cię piec, jakbyś wpadł w ognistą czelusć piekła - roześmiała się dziewczyna.

- Co mi tam maść. Wiem z całą pewnością, że jeszcze nigdy nie gładziły mnie takie ręce.

Nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy to możliwe, by Morgan czytał w jej myślach, bo właśnie przebiegło jej przez głowę, że nigdy dotąd nie czuła się równie przyjemnie, dotykając mężczyzny. Jego twarde, muskularne ciało było zupełnie niepodobne do ciała jej żałośnie okaleczonego ojca.

Lindsay miała chęć smarować Morgana maścią w coraz to nowych miejscach. Wszędzie. I prawdę mówiąc, pragnęła, by on także pogładził jej skórę.

- Co się stało, Lindsay? Czemu przerwałaś? - Morgan przewrócił się na plecy i dostrzegł, że dziewczyna ma zaróżowione policzki. Zerwał się z podłogi i ujął oburącz dłonie Lindsay.

- Przepraszam cię, nie powinienem był się zgodzić. Nie powinienem był obrażać twojej czci widokiem blizn wyniesionych z bitew.

- Nie. - Spuściła głowę, by ukryć wstyd. - Widok twych ran nie jest dla mnie przykry. - Lindsay rozplakała się bezradnie.

- Nic się nie stało, nie płacz, pani. - Ośmielony jej przyzwoleniem, objął ją i przytulił.

- Gdy mówisz do mnie „pani”, czuję się, jakbym była kimś nadzwyczajnym i niezwykłym.

- Bo jesteś kimś nadzwyczajnym i niezwykłym, Lindsay. - Morgan wtulił usta we włosy dziewczyny. - Przynajmniej dla mnie.

Poczuła, że jego dłonie zsuwają się po jej ramionach i plecach. Zrobiło jej się gorąco, jakby każde dotknięcie Morgana podsycalo w niej wewnętrzny ogień. Płomień rósł z chwili na chwilę, jakby miał zaraz ogarnąć całe jej ciało.

Lindsay miała wielką ochotę odpowiedzieć na pieszczoty Morgana. Pragnęła przesunąć palcami po zmierzwionych, ciemnych włosach porastających szeroką pierś, dotykać jego ramion i szyi, ale była zbyt onieśmielona, by to zrobić. Klęczała jedynie, bojąc się, że jeśli się poruszy, straci równowagę i opadnie bezwładnie na podłogę.

- Boję się... - Morgan zawiesił głos i ujął twarz Lindsay w dłonie. - Boję się, że

znów zasłużę sobie na burę.

- Dlaczego?

Wpatrywał się w nią tak przenikliwym wzrokiem, że zadrżała.

Uśmiechnął się.

- Bo zamierzam cię raz jeszcze pocałować.

- Och - westchnęła.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz, pani?

- Tak, Morganie MacLarenie. Zgadzam się, żebyś mnie pocałował.

Uśmiechnął się szerzej.

- Miło mi to słyszeć.

Potem już nie dodał ani słowa, tylko po prostu pocałował Lindsay, tak łagodnie i delikatnie, że serce zatrzepotało w jej piersi jak ptak w klatce. Nie odrywając ust od jej warg, przytulił ją mocniej. Zarzuciła mu ramiona na szyję i zamknęła oczy. Czuła się tak lekko, jakby unosiła ją woda. Jakby pływała w powietrzu.

Gdzieś spoza domu dobiegł ją świergot nocnych ptaków. Trzask płonących polan i chrapanie ojca zdawało się dobiegać z wielkiej dali, jakby cały świat odpływał unoszony falami wezbranej rzeki. Została sam na sam z mężczyzną, którego ramiona potrafiły ją unieść do siódmego nieba. Lindsay zatraciła się w pocałunkach Morgana. Oderwał wargi od jej ust i wziął głęboki oddech. Jego uścisk osłabł, a potem niemal zupełnie wypuścił ją z rąk.

Jeszcze przez chwilę czekała, aż wreszcie uniosła powieki.

- Co się stało? Czemu mnie nie całujesz?

Była taka otwarta. Tak cudownie naiwna. Morgan uświadomił sobie, że posuwa się za daleko i nadużywa jej zaufania.

- Pora spać, Lindsay. Już późno. A ja... -Wstał i pociągnął ją za rękę. - Ja muszę się przejść.

- Dokąd chcesz iść o tej porze? Jest ciemno i zimno,

- Tak. - Odpowiedział zaskakująco szorstkim tonem. -Tego mi teraz właśnie trzeba.

Zabiegła mu drogę.

- Ale pocałuj mnie jeszcze raz.

Miał ochotę zawyc złości. Chwycił ją w ramiona, obrócił się razem z nią i popchnął w kierunku drabiny.

- Marsz spać, Lindsay - rzucił krótko. - Muszę wyjść.

Zaskoczona i zmieszana jego postępowaniem, z ociąganiem spełniła to stanowcze polecenie. U stóp drabiny zatrzymała się i obejrzała za siebie.

Morgan narzucił na ramiona futro i pokuśtykał do drzwi. Wychodząc z domu, nawet nie rzucił na nią okiem.

Zdumiona i rozczarowana opadła na najniższy szczebel drabiny i podparła twarz dłońmi. Co takiego zrobiła? Czy źle go całowała? A może jednak powinna go dotykać tak jak on jej?

Żałowała, że niewiele wie o tych sprawach. Cóż mogła na to poradzić, przecież jej życie miało na nieustannej pracy, a nie na zabawach i zalotach.

Lindsay zamyśliła się. Wiedziała, co następuje po zalotach. Po zalotach ludzie biorą ślub i śpią ze sobą. W surowym świecie, w jakim dorastała, małżeństwo nie było sprawą kaprysu, lecz kwestią przetrwania. Kobiety wychodziły za mąż po to, by mieć

kogoś, kto się nimi zajmie. To mężczyźni polowali, zdobywali pożywienie i zapewniali bezpieczeństwo.

Przypomniał jej się Heywood Drummond, który nie ukrywał, że chciałby, by za niego wyszła. Z drugiej strony ludzie szeptali, iż Heywood zatłukł swoją pierwszą żonę na śmierć, a jego zachowanie zdawało się niekiedy wskazywać, że okrucieństwo leży w jego naturze. To właśnie zadecydowało, że trzymała Heywooda Drummonda na dystans. Na razie wołała niczym nie zachęcać go do oświadczyn.

Morgan MacLaren był zupełnie inny. Nie był podobny do żadnego mężczyzny, jakiego dotąd znała. Był silny, bo taki powinien być wojownik, ale zarazem uważny i delikatny wobec niej i dzieci. A kiedy jej dotykał, wpadały jej do głowy szalone pomysły. Gotowa była położyć się z nim na podłodze i pozwolić, żeby ją całował po całym ciele. Gotowa była nawet kochać się z nim, jak robią to mężatki. Choć bała się, że będzie to okropne.

A może nie?

Zamknęła oczy z jękiem rozpacz. Boże, ależ ona musi wydawać mu się głupia! Beznadziejnie, rozpaczliwie głupia.

Morgan doszedł nad potok, a potem ruszył wzdłuż brzegu, aż trafił na polanę, nad którą rozciągało się usiane gwiazdami niebo. Był zmęczony po dniu spędzonym na nieustannej pracy. Powinien już dawno spać jak dziecko, a tymczasem stał na chłodnej ziemi, z dala od domu i bił się z myślami. Nie wiedział, co będzie później, ale czuł, że dopóki Lind-say nie uśnie, nie wolno mu wracać do domu.

Pragnął jej i udręka tego skazanego na niespełnienie uczucia była gorsza od bólu, jakiego kiedykolwiek doświadczył -nawet od ran odniesionych w bitwie.

Nigdy dotąd nie poznał dziewczyny równie słodkiej i niewinnej. To właśnie jej niewinność stanowiła powód, dla którego włóczył się pośród zimnej nocy, zamiast przed kominkiem leżeć w ramionach Lindsay.

Poszanowanie czci panińskiej wpajano mu od dzieciństwa, a z uwagi na swą pozycję szczególnie mocno musiał dbać o opinię. By zasłużyć na ludzki szacunek, powinien zawsze, niezależnie od okoliczności, postępować tak, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia.

Morgan zawsze starał się być godnym następcą swego ojca i we wszystkim kierował się zasadami rycerskiego honoru. Jak dotąd nigdy od niego nie odstąpił, lecz teraz bał się, że Lindsay, w naiwności swego ducha, może go skusić do złego.

Wpatrywał się w gwiazdy, póki zimno i zmęczenie nie zmusiły go, by wrócił do chaty. Cicho otworzył drzwi i wszedł do izby. Ciemne wnętrze rozjaśniał jedynie żar na palenisku pieca. Morgan ułożył się na sienniku.

Nawet we śnie nie zaznał spokoju, przez całą noc bowiem rudowłosa kusicielka dręczyła go zachętami, z których nie mógł skorzystać. Obudził się nazajutrz tylko po to, by twarzą w twarz znów stanąć przed udręką pożądania.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lindsay zeszła po drabinie. Na palenisku płonął ogień, ale siennik był pusty. Serce dziewczyny ścisnął nagły lęk. Odwróciła wzrok i zajęła się szykowaniem owsianki.

W chwilę później zeszły skulone dzieci, by ubrać się w ciepłe kominka.

- Gdzie jest Morgan? - spytał chłopiec. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, może sobie poszedł.

Westchnęła. Wiedziała, że nie powinna mieć do niego o to pretensji. Nie było to przyjemne, lecz należało spojrzeć prawdzie w oczy.

- Teraz, gdy jego rany się wygoiły, na pewno przed zimą będzie chciał wrócić do domu, Brock. Do innych wojowników, z którymi będzie mógł pić w karczmie.

Wino i dziewczki. Na myśl o tym ścisnęło jej się serce. Była pewna, że odstraszyła Morgana swoim brakiem doświadczenia. Cóż mu po kobiecie, która nie umie się kochać? Po co miałby siedzieć z nimi i dzielić ich nędzę?

- Odszedł bez pożegnania? - Chłopiec żarliwie pokręcił głową. - Morgan nigdy by

tak nie postąpił.

Lindsay spojrzała wyrozumiale na Brocka.

- Wierzysz, że Morgan MacLaren jest prawdziwym rycerzem?
- Tak, Lindsay. Wiem, że nie mógłby odejść tak bez słowa.

Postanowiła sprowadzić chłopca na ziemię.

- Nasza nędzna chata nie jest miejscem dla takiego pana jak Morgan MacLaren, dla rycerza, który był w Edynburgu i widział królową.
- O co tam chodzi? - rozległ się surowy głos Gordona Douglasa. - Co masz do powiedzenia o rycerzach, Lindsay?

Zawstydziała się i umilkła.

W tej samej chwili drzwi do chaty otworzyły się szeroko i do izby wszedł Morgan z naręczem drew.

- No widzisz, Lindsay! - Głos Brocka dźwięczał triumfem. - Mówiłem ci, że nie odszedłby bez słowa.
- Kto odszedł? - Morgan rzucił drwa na podłogę przed paleniskiem i otrzepał rękę.
- Lindsay mówiła, że odszedłeś bez pożegnania. Odwróciła się do niego plecami, lecz zdążył dostrzec, że się zaczerwieniła.

- Nigdzie się nie wybieram, Brock. - Morgan zmierzwił przyjacielskim gestem włosy chłopca i podszedł do stołu. -Przynajmniej dopóki nie pokosztuję jeszcze tych smakołyków, które przyrządza twoja ciotka.

Dziewczyna postawiła przed nim miskę owsianki.

- Nie powinienes rąbać drew.
 - Dlaczego? - uśmiechnął się do niej.
 - Bo twoje rany jeszcze się nie wygoiły. Wczoraj byłeś cały obolały.
 - Tak było - przyznał - ale dzięki twojej maści ból minął bez śladu.
- ~ Naprawdę?

Kiwnął głową i zobaczył, że oczy Lindsay pojaśniały.

Do stołu zasiadł Gordon z dziećmi. Wszyscy sięgnęli po swoje miski. Po modlitwie zaczęli jeść.

- Co będziesz dziś robić, dziewczyno? - Gordon starannie wygarnął resztki owsianki skórką od chleba.
- Zawiozę do wsi maść dla wdowy Chisholm. Wrócę przez łąki, może po drodze coś upoluję.
- Obiecałem wczoraj Brockowi, że zabiorę go do lasu i nauczę podchodzić zwierzynę.
- Ale twoje ramię...

W odpowiedzi Morgan nakrył dłonią rękę Lindsay.

- Starczy mi sił, by naciągnąć łuk. Wiedz, że nie zwykłem chybiać celu.

Zarumieniła się i wtedy zdała sobie sprawę, że wszyscy na nich patrzą.

- Dobrze - odpowiedziała. - Wezmę sztylet. Idźcie z łukiem i coś upolujcie, ale nie forsuj ręki, bo rana może się otworzyć i dostaniesz krwotoku.
- Będę uważał - obiecał Morgan z uśmiechem. Gordon Douglas obserwował wszystko ze swego miejsca.

Naraz zdał sobie sprawę, że jego córka zmienia się w oczach. Podobnie jak ten

zuchwały rycerz, który u nich zagościł. Nie było wątpliwości, że młodzi mają się ku sobie.

Przypomnił mu się inny młody rycerz, który stracił serce dla słodkiej dziewczyny z promieniście rudymi włosami i śmiejącymi się, zielonymi oczami. Ilekroć spojrział na Lindsay, przypominała mu się jej matka. Dobrze rozumiał, że Morgan MacLaren jest urzeczony jego córką. On sam był kiedyś tak samo zauroczony jej matką i w głębi serca nigdy nie pogodził się z tym, że ją stracił.

- Szkoda, że tego nie widziałas, Lindsay. - Oczy Brocka błyszczały, gdy opowiadał o wydarzeniach dnia. - Morgan

nauczył mnie tropić i podchodzić zwierzynę. Pokazał mi, jak rozpoznawać ślady. On odróżnia tropy łani i rogacza. Potrafi policzyć, ile sztuk liczy stado. Potem Morgan czekał ukryty za pnem, aż samiec spuści łeb, i wtedy wycelował i położył go jedną strzałą.

- Szkoda, że tego nie widziałam - powiedziała z pełnymi ustami Gwen.

- Chciałabyś wybrać się na polowanie? - Morgan uśmiechnął się do dziewczynki. - Wobec tego następnym razem weźmiemy cię ze sobą.

- Naprawdę? - Gwen promieniała szczęściem.

- A jak tobie upłynął dzień, dziewczyno? - Douglas spojrział spod oka na córkę, która od powrotu ze wsi była dziwnie cicha. - Zawiozłaś maść wdowie Chisholm?

- Tak. Dała mi w zamian przepiórcze jaja, cały tuzin. Znalazła gniazdo na łąkach.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się zadowolony.

- Zawsze coś wymyślisz, dziewczyno. I zamieniłaś te jaja na coś innego?

- Nikt prócz Heywooda nie chciał ze mną handlować. Na wzmiankę o kupcu wszyscy umilkli.

- No i co Heywood ci zaproponował?

Lindsay wpatrywała się bez słowa w talerz. Jedzenie nagle straciło cały smak.

- Heywood powiedział, że wdowa Chisholm znalazła te jajka dwa tygodnie temu i sama już próbowała na coś je wymienić. Powiedział jeszcze, że teraz jajka są już pewnie zepsute i że nie da za nie więcej niż jedno kurze jajko.

- Jedno kurze jajko za tuzin jajek przepiórczych? - Starszy mężczyzna zacisnął dłoń w pięść. - Ten Heywood Drummond to złodziej jakich mało. Dobrze wie, że mamy zimę na karku i wszystkiego nam brak. Czy niczego innego ci nie proponował?

Lindsay bez słowa wstała od stołu.

- Pozmywasz dziś sama po kolacji? - spytała łagodnie Gwen.

- Tak, Lindsay. A dokąd ty idziesz?

- Chcę się położyć. - Lindsay ruszyła w kierunku drabiny.

Zanim postawiła nogę na pierwszym szczeblu, ojciec uderzył pięścią w stół.

- Nie pójdziesz spać, dopóki nie odpowiesz na moje pytanie. Czy Heywood Drummond zaproponował ci coś jeszcze?

Lindsay opuściła głowę.

- Owce z jagniętami i stadko kurcząt - powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

- Co takiego? Owce i kurczęta? Co ty pleciesz, dziewczyno? Co to za pomysł?

- To w zamian za moją zgodę na ogłoszenie zaręczyn. - Lindsay uniosła głowę i popatrzyła na ojca. - Heywood Drummond chciałby ogłosić nasze zaręczyny, żebyśmy mogli wziąć ślub w Wigilię Bożego Narodzenia. Chciałby też, żeby

oddała Gwen i Brocka do dzierżawcy w sąsiedniej wsi, który sam ma tuzin dzieci, ale chętnie weźmie jeszcze dwoje, bo trzeba mu rąk do pracy w polu.

Nie dodając ani słowa więcej, wspięła się po drabinie na strych. Ojciec zerwał się od stołu i wyszedł z domu, zatraskując za sobą z hukiem drzwi.

W izbie zapadła głucha cisza. Morgan zacisnął pięści. Najchętniej wyszedłby jak Gordon z domu, by wyładować wściekłość z dala od dzieci. W tej chwili jednak nie zostało mu nic innego, jak zająć się tymi właśnie dziećmi, których twarze wyrażały lęk. Pragnąc wprowadzić spokojniejszy nastrój, wstał od stołu, pozbierał talerze, nalał wody do cebra i zaczął zmywać.

- Ja także rośłem poza domem - zaczął spokojnie.

- Naprawdę? - Brock popatrzył na niego zaskoczony, po czym oboje z Gwen podeszli bliżej.

- Tak.

- Dlatego, że też byłeś biedny? - spytała dziewczynka. Morgan pokręcił głową i dał im po kawałku płótna, by wycierali naczynia.

- Chciałem zostać rycerzem i musiałem się nauczyć tego rzemiosła. Ojciec powiedział mi, że najlepszym nauczycielem będzie dla mnie Allistair MacLaren z naszego klanu. Błagałem go więc, żeby przyjął mnie na służbę i nauczył wszystkiego, co powinien umieć wojownik.

- Jak długo z nim mieszkałeś? - spytał cicho Brock.

- Trzy lata.

- Trzy lata - powtórzyła wystraszona Gwen. Dzieci popatrzyły po sobie.

- Bardzo cię bił? - spytał Brock.

Morgan przerwał pracę, by spojrzeć na chłopca.

- Czy mnie bił? Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Lindsay poszła kiedyś do pracy w jednym bogatym domu. Miała zostać pokojówką. To było wkrótce po tym, jak dziadek wrócił z wojny i nie mieliśmy się gdzie podziąć. Przepracowała tam tylko kilka dni.

- Nie spodobało jej się tam?

Chłopiec w milczeniu wycierał talerz, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Lindsay zawsze jest chętna do pracy. Nigdy się nie leni. Kiedy podawała do stołu i wylała piwo na świeży obrus, jej pani rozzłościła się i ją zbiła.

- Co takiego? - Morgan znieruchomiał. - Zbiła Lindsay?

- Nieraz. W końcu Lindsay uciekła.

- Wróciła do domu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo się wstydziła. Wstydziła się przed dziadkiem. Przed nami wszystkimi. Ukryła się w lesie. Kiedy przysłali po nią służącego, dziadek zorientował się, że coś się stało, i zaczął jej szukać. Znalazł ją pokrwawioną, z pręgami od kija na grzbiecie i na nogach, w podartym ubraniu. Kiedy rany się wreszcie wygoiły, Lindsay padła dziadkowi do nóg i prosiła, żeby nie posyłał jej z powrotem do tego domu. Powiedziała wtedy, że woli żyć w lesie, żywiąc się jagodami i śpiąc w trawie, niż trafić do okrutnego pana.

Chłopiec odstawił talerz i starannie wytarł ręce. W jego oczach malowały się strach i smutek. Morganowi ścisnęło się serce.

- To był jedyny raz w życiu - dodał Brock ledwo słyszalnym szeptem - kiedy widziałem, jak dziadek płakał.

Potem wziął siostrę za rękę i poprowadził w kierunku drabiny.

Kilka godzin później, gdy Morgan wciąż siedział wpatrzony w ogień, do chaty wrócił Gordon. Mężczyźni nie zamienili ani słowa, ale z twarzy Douglasa łatwo można było wyczytać, co go gryzie.

Gdy Gordon wspiął się po drabinie na strych, Morgan na nowo popadł w zadumę. Po kolei rozważał wszystko, czego się dowiedział. Nic dziwnego, pomyślał, że ta zadziwiająca dziewczyna tak go urzekła.

Na myśl, że ktokolwiek mógłby ją skrzywdzić, MacLaren mimo woli zacisnął potężne pięści. Przysiągł sobie, że uczyni, co w jego mocy, by nic nie zatruwało życia kobiecie, którą pokochał.

Kobieta, którą pokochał.

To było zaskakujące odkrycie. Po chwili Morgan uśmiechnął się do siebie zadowolony. To takie proste. Jest dość potężny, by zrobić, co zechce. Sam poprosi o rękę Lindsay i weźmie ją za żonę. Wracając do domu, zabierze ze sobą żonę i jej rodzinę. Zadbaj, by już nigdy niczego im nie brakło.

Jego żona. Jego rodzina. Kiedy powtarzał te słowa w myślach, czuł w sercu słodycz szczęścia.

Był tak przejęty, że nie mógł usnąć. Nie mógł się doczekać, kiedy barwy świtu rozjaśnią niebo, a on udowodni Lindsay, jak bardzo ją kocha.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Witaj, moja pani.

- Dzień dobry. - Lindsay zeszła po drabinie.

Na widok stojącego w otwartych drzwiach Morgana jej serce wypełniła radość.

Rozejrzała się zdumiona po izbie. Na palenisku płonął ogień, na piecu stał garnek, z którego dolatywał zapach owsianki, a na stole stał poobijany cynowy dzban do piwa - teraz pełen kwiatów.

- Co to wszystko znaczy? - spytała z niespokojnie bijącym sercem.

- Wczoraj wieczorem byłaś taka smutna. - Morgan podszedł do niej i ujął ją za rękę.

- Chciałem sprawić ci dziś z samego rana niespodziankę, która poprawiłaby ci humor. Czy to był zły pomysł?

- Och, cudowny... - Urwała. - Dopiero co podniosłeś się z łóżka. Odniosłeś ciężkie rany w bitwie. Nie powinieneś wyręczać mnie w moich obowiązkach.

- A kto właściwie powiedział, że te obowiązki należą do ciebie, Lindsay? - Spojrzała na niego osłupiała. - Widzę, jak ciężko pracujesz, by zapewnić rodzinie

schronienie, stawę i ubranie - powiedział łagodnie. - Obowiązki trzeba dzielić po równo, bo dla jednej osoby stanowią zbyt ciężkie brzemię.

- Mój ojciec jest stary i niewiele może zrobić, a dzieci są jeszcze za małe.

Uniosła głowę. Po drabinie schodził ze strychu Gordon z wnukami. Lindsay wyrwała rękę z dłoni MacLarena i pośpiesznie wróciła do pieca, by zamieszać owsiankę.

Morgan poprawił pled i powitał ojca i bratanków Lindsay. Dzieci obdarzyły go radosnymi uśmiechami i wybiegły z domu. Za chwilę jednak wróciły ze zdziwionymi minami.

- Ktoś już napełnił wiadra! - zawołał Brock. - I naszykowałam opał.

- Wcześniej dziś wstałeś, Morganie MacLarenie. - Gordon zasiadł za stołem i spojrzał pytająco na gościa.

- Nie mogłem spać, musiałem się nad czymś zastanowić. Odkryłem, że lepiej mi się myśli, kiedy coś robię. - Morgan zasiadł naprzeciwko ojca Lindsay. - Chciałbym cię o coś prosić, panie.

Gordon przyjrzał się uważnie rozgorączkowanemu młodzieńcowi.

- Czyżbyś chciał nas już opuścić?

- Opuścić?

- Twoje rany zaczynają się goić.

- Nie. - Morgan uśmiechnął się i pokręcił głową. - Daleko mi jeszcze do tego, bym mógł znieść drogę do domu.

- O co takiego chcesz mnie poprosić?

- O rękę twojej córki.

Przez długą chwilę w izbie panowała kompletna cisza. Morgan odwrócił się do Lindsay i zobaczył, że dziewczyna stoi nieruchomo z chlebem w rękach. Dzieci także oniemiały ze zdumienia.

Starszy mężczyzna odkaszlnął.

- Czy jesteś świadom tego, że to bardzo poważna prośba?

- Wiem.

Gordon spojrzał na córkę.

- Nie mogę ci odpowiedzieć, dopóki nie usłyszę, czy ty też tego chcesz, dziewczyno. Co powiesz, Lindsay?

- Musisz zrozumieć, że nie zostawię rodziny. Bez ojca, Gwen i Brocka nigdzie nie pojedę.

Morgan kiwnął głową.

- Rozumiem to, pani. Nie zamierzałem cię wcale o nic takiego prosić.

- Pomyśl, Morganie, chcesz wziąć na swoje barki wielki ciężar. Jest nas czworo. Czy na pewno jesteś na to gotów? Jesteś jeszcze młody. Wkrótce możesz żałować swego kroku, gdy zacznie ci ciążyć brzemię odpowiedzialności za tyle osób.

- Co czyni się z miłości, pani, nie jest brzemieniem. Powiedział to tak spokojnie i stanowczo, że omal się nie rozplakała.

- Naprawdę gotów jesteś troszczyć się o całą moją rodzinę?

- Tak.

Morgan z podziwem patrzył na Lindsay. Imponowała mu stanowczość, z jaką broniła swoich bliskich.

- Jesteś rycerzem, Morganie MacLarenie. Jeździsz po kraju, tropiąc wrogów. Czy mamy podróżować z tobą?
- Wolałbym wiedzieć, pani, że jesteście bezpieczni z dala od zgiełku bitwy, wraz z moją rodziną.
- Czy jesteś pewny, że twoja rodzina nas przyjmie? Uśmiechnął się do niej.
- Tak. Skoro ja ciebie pragnę, to czemu moi najbliżsi mieliby chcieć czegoś innego?
- Widząc, że Lindsay gotowa jest wysunąć nowe zastrzeżenia, podszedł do niej z rozłożonymi rękami. - Błagam cię, zmiłuj się nade mną, Lindsay. Powiedz, że się zgadzasz.

Z trudem oderwała dłonie od piersi, by podać ręce Morganowi.

Na podłogę upadł chleb, o którym zupełnie zapomniała.

Oboje naraz opadli na kolana i sięgnęli po bochenek. Gdy zderzyli się głowami, zaśmiali się radośnie jak dzieci.

W końcu Lindsay odpowiedziała:

- Przyjmuję twoje oświadczenia, Morganie MacLarenie. Z największą radością.

Wzięła chleb w ręce, a Morgan objął jej dłonie swoimi. Oboje wstali i obrócili się do Gordona Douglasa.

- A ty, panie? Czy wyrazisz swą zgodę?

Widząc rozjaśniony radością wzrok córki, ojciec nie wahał się długo.

- Tak, zgadzam się. Jak wiesz, w naszej wsi wszystkie śluby odbywają się dopiero w Wigilię Bożego Narodzenia. Czy gotów jesteś w tym dniu poślubić moją córkę, Morganie MacLarenie?

- Z największą radością - powtórzył słowa Lindsay, wpatrzony w jej oczy.

Starszy mężczyzna odwrócił się, by otrzeć 2 policzka łzy, udając, że coś wpadło mu do oka. Dzieci piszczały podniecone radosną nowiną i uściskały najpierw swoją ciotkę, a potem mężczyznę, którego i tak zaczęły już traktować jak członka rodziny.

Morgan poprowadził Lindsay do stołu, a gdy siadała, pomógł jej przysunąć zydel. Potem usiadł obok niej i podał tacę z pieczoną dziczyzną.

- Gdybym wiedział, że wasza ciotka upuści chleb - powiedział, robiąc minę do Gwen i Brocka - poczekalibyśmy z oświadczyniami, aż zjemy śniadanie.

Dzieci zachichotały na widok rumieńców na policzkach Lindsay. Żadne z nich nie umiałyby tego wyjaśnić, ale nagle poczuły się tak, jakby już była Wigilia.

- Hm. Pięknie pachną. - Morgan z przyjemnością wciągnął powietrze w płuca, rozkoszując się aromatem ziół, które zebrała nad potokiem Gwen.

Ten dzień spędził z dziećmi. Gwen i Brock byli uszczęśliwieni. Morgan nauczył ich robić wędki, a potem Gwen zbierała zioła.

- Zawsze wiemy naprzód, kiedy Lindsay zamierza przyrządzać swoje maści.

Gwen wiązała rozłożone na płótnie rośliny w pęczki do suszenia.

- Jak to się stało, że wasza ciotka została zielarką? - Morgan poderwał wędkę i kolejna ryba wylądowała na trawie.

- Babcia ją tego nauczyła, kiedy Lindsay była jeszcze mała.

- To rzadka i cenna wiedza. Lindsay powinna opływać w dostatki. Nikt nie poskąpi złota, gdy idzie o zdrowie.

Brock pokręcił głową.

- Lindsay powiada, że jej sztuka to dar Boży i że maści nie działałyby, gdyby brała

za nie pieniądze. Przyjmuje to, co jej ludzie dają, ale sama o nic ich nie prosi. Jeszcze jeden powód, uświadomił sobie Morgan, dla którego tak ją kocham. Miała tyle szlachetnych cech, że nie sposób byłoby je wszystkie wyliczyć. To, że spotkał taką kobietę, która na dodatek zgodziła się zostać jego żoną, było niezastępowaną łaską losu.

- Chodźmy - powiedział, zbierając ryby. - Zrobimy pyszną kolację dla Lindsay. Ja was nauczę gotować, a wy mi powiecie, jak się nazywają te wszystkie zioła.

Idąc za Morganem, Gwen pomyślała, że jeszcze nigdy codzienne zajęcia nie wydawały jej się równie zajmujące. Każda chwila spędzona z Morganem MacLarenem była przygodą. Teraz, gdy poprosił jej ciotkę o rękę, mała uwierzyła, że ta przygoda nigdy się nie skończy.

- Coście zrobili? - Lindsay wpadła do chaty i zatrzymała się zdumiona w drzwiach. Podłoga była czysto zamieciona, na kominku huczał ogień, w izbie unosił się słodki zapach ziół. Małe pęczki rozwieszane były po całym domu.

- Morgan powiedział, że zioła szybciej wyschną, jeśli je rozwiesimy. - Gwen wyglądała na niezwykle rozradowaną. - Pięknie pachną, co, Lindsay?

- Tak.

Na stole stały świeże kwiaty. W domu panował świąteczny nastrój. Pachniało ziołami i chlebem, na żarze piekły się ryby. Ojciec siedział przy nakrytym stole z kubkiem piwa w ręku.

- Witam w domu, pani. - Morgan podniósł się sprzed paleniska i podszedł do Lindsay. Ujął jej rękę, uniósł do ust i ucałował.

Zaczerwieniła się, gdy prowadził ją do stołu i pomagał usiąść. Potem wyjął z żaru ryby i częstował wszystkich po kolei.

Lindsay od lat nie czuła się równie szczęśliwa. Nie musiała już się obawiać Heywooda Drummonda, a dzięki pomocy Morgana miała w domu dużo mniej pracy. Po raz pierwszy w życiu mogła rozkoszować się chwilą, a czas płynął jak w błogim śnie.

Jedząc, słuchała dzieci, które opowiadały, jak spędziły dzień z Morganem. Nie dziwiła się, że tak go polubiły. Był dla nich jak ojciec lub starszy, kochający i troskliwy brat. Gordona ujął tym, że chętnie słuchał jego opowieści. Nieraz słyszała, jak ojciec opowiadał mu o bitwach, w których brał udział u boku lorda.

Morgan odwrócił się do niej.

- Jesteś dziś taka cicha, Lindsay.

- Tak. Jestem trochę zmęczona, ale to przyjemne zmęczenie.

Gdy po kolacji wstała, by posprzątać, Morgan ujął ją za rękę.

- Nie zajmuj się tym teraz.

- Ale... Pokręcił głową.

- Nie dziś, pani. Sami się tym zajmijmy. Ty się umyj w strumieniu.

- O tej porze? - Zaśmiała się. - Jest jeszcze tyle do zrobienia.

- Raz sobie odpocznij, dziewczyno - wtrącił się ojciec. - Dobrze ci to zrobi.

Lindsay wiedziała, że Gordon ma ochotę na następne wojenne opowieści, ale nie kazała sobie powtarzać dwa razy. Weszła po drabinie na strych, założyła nocną koszulę, otuliła się pledem i zeszła nad potok.

Wycierając się ręcznikiem, oglądała własne ciało i pytała samą siebie, co właściwie

spodobało się w niej Morganowi. Włosy? Sylwetka? Czy kiedy się dotykają jego serce bije równie mocno jak jej? Czy tak jak ona, Morgan najbardziej w świecie pragnie się z nią kochać jak mąż z żoną? Na myśl o tym zadrżała. Wciągnęła nocną koszulę i pobiegła po mokrej trawie w stronę domu.

Douglas poszedł już z dziećmi na strych. Panującą w izbie ciszę przerywały tylko tajemnicze trzaskanie i syczenie ognia. Powoli zamknęła za sobą drzwi.

- Chodź przed ogień, rozgrzejesz się. - MacLaren okrył ją futrem i poprowadził do kominka. - Trzęsiesz się. Długo cię nie było.

- Tak. Chociaż woda była zimna jak lód, nie mogłam sobie odmówić kąpieli. Nieczęsto mam podobną okazję, więc siedziałam w wodzie, dopóki nie zmarzłam na kość.

Kiedy objął ją ramionami, zauważył, że wcale nie jest taka przemarznięta. Powoli przesunął dłonie, obejmując Lindsay tuż poniżej piersi. Przybliżył usta do jej skroni i wtulił nos we włosy.

- Tak cudownie pachniesz - szepnął. - Sosnami. Westchnęła. Oddech Morgana na jej skórze sprawiał, że przez ciało Lindsay przebiegał cudowny dreszcz.

- Zrobiło ci się cieplej przy ogniu? - Jego usta powoli przesunęły się po policzku i karku dziewczyny.

- Tak - odpowiedziała, choć wiedziała, że to nie od ognia było jej tak gorąco.

Pocałunki Morgana sprawiały, że topniała, jakby była z wosku. Jego silne dłonie były niepokojąco blisko jej piersi.

Pragnęła, by ich dotknął. Pragnęła tego nade wszystko w świecie. Kiedy Morgan nie objął jej piersi, odchyliła się w tył, przytulając się do niego i jednocześnie odsłaniając delikatną szyję.

To zaczyna się robić niebezpieczne, pomyślał. Obiecał ojcu Lindsay, że będzie jej bronił, a tymczasem sam był bliski tego, by oddać się rozkoszom, do jakich nie miał prawa. Jednak nie umiał się oprzeć urokowi dziewczyny.

Odsłonił jej ramię i obsypał gorącymi, wilgotnymi pocałunkami. Jego ręce same znalazły drogę. Gdy poczuł, jak sutki Lindsay sztywnieją pod dotknięciem jego palców, jego podniecenie jeszcze się wzmogło.

- Och, Morgan... - Odwróciła się i zarzuciła mu ramiona na szyję. - Nie wiem... Nie wiem, co mam robić, ale wszystkiego się nauczę.

- Jak to „nauczysz”? Czego się chcesz uczyć?

- Jak sprawić ci przyjemność. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Chcę, żebyś mnie kochał.

- Lindsay nie wiedziała, jak wyrazić to, co czuje.

- Lindsay...

- Cśśś.

Gdy położyła mu palec na ustach, zaczerpnął raptownie powietrza. Przesunęła opuszką palca po jego ustach. Była zachwycona, widząc w jego oczach wzbierającą namietność.

- Wiem, jak to jest z rycerzami. Słyszałam też o kobietach, które jeżdżą za wojskiem i umieją kochać się z żołnierzami. Ja też się wszystkiego nauczę, ale musisz mi w tym pomóc.

Morgan zastanawiał się, czy Lindsay w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co mu

proponuje. Spojrzał na nią i serce mu się ścisnęło. Była taka słodka. Taka niewinna. A jednak czuł, że lada chwila gotów jest ulec pokusie. Nie miał do tego prawa, ale jej niewinne pieszczoty sprawiły, że nie umiał się zdobyć na stanowczość.

Prawda była taka, że jej pragnął. Boże wielki, tak bardzo jej pragnął! Ale jak mógł czynić zamach na jej cnotę, skoro jego obowiązkiem było bronić jej przed wszelką krzywdą?

Z uczuciem, że rzuca się w przepaść, opuścił ręce i cofnął się o krok.

Lindsay spojrzała na niego zaskoczona.

- Co się stało? Co zrobiłam?

- Nic nie zrobiłaś. To ja potrzebuję powietrza. Nie dodając ani słowa więcej, ruszył do drzwi.

Kiedy usłyszał cichy szloch Lindsay, omal nie zawrócił, ale przypomniał sobie w porę słowo dane jej ojcu. Trzęsącymi się dłońmi otworzył drzwi i wypadł w mrok, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lindsay patrzyła bezradnie, jak Morgan odchodzi. Nawet gdy zamknął za sobą drzwi, wciąż stała jak skamieniała. Czuła się zupełnie zdruzgotana i bezradna.

Znów to zrobiła. Wystarczyło kilka jej słów, by wygnać Morgana z chaty. Na tę myśl pod Lindsay ugięły się kolana. Musiała przytrzymać się oparcia ławy, by nie upaść.

Przypominała sobie każde swoje słowo, każdy swój ruch.

A wszystko po to, by sprawić Morganowi przyjemność. Nie mogła pojąć, czym zawiniła, że tak obojętnie ją potraktował. Mało tego, znowu wyszedł z domu, jakby nie mógł z nią wytrzymać. Co takiego wiedziały inne kobiety, o czym ona nie miała pojęcia? Co mogłaby jeszcze zrobić, by uświadomić Morganowi, że pragnęła jego miłości?

Miłość. Morgan już zdobył jej serce, ale to było za mało. Lindsay chciała, by się z nią kochał. Ilekroć jednak nadchodziła chwila, w której wszystko zdawało się układać, tylekroć Morgan odrzucał jej propozycję.

Nie przyjaźniąc się z żadną kobietą, dziewczyna nie miała kogo się poradzić. Nie wiedziała, jak powinna się zachować ani co mówić w tym szczególnym momencie. Czuła się głupio i niezręcznie.

Niespokojnie krążyła po izbie. Niemądra jesteś, zganiła samą siebie. Kto to widział,

żeby rzucać się na mężczyznę niczym jakaś rozpustna kusicielka.

Stała w miejscu. Przyszło jej do głowy, że przecież Morgan zdawał się nie mniej podniecony od niej samej.

Dlaczego zatem odrzucił jej propozycję?

Znów zaczęła niespokojnie przemierzać izbę. Może Morgan nie chciał jej odrzucić. W przeciwnym razie, po co w ogóle prosiłby ją o rękę?

Odwróciła się i spojrzała na drzwi. Choć MacLaren był rycerzem i walcząc z wrogami wciąż wędrował z miejsca na miejsce, nie wyglądał na mężczyznę, który potrafiłby ruszyć w świat, nie oglądając się za siebie. Był szczerzy i szlachetny. Czyż nie poprosił ojca o jej rękę? Czyż nie przysiągł, że będzie opiekować się nią i jej najbliższymi?

Czy przypadkiem nie było tak, że Morgan bardziej troszczył się o jej honor niż o własną przyjemność?

Zamknęła oczy i zastanawiała się chwilę. Potem usiadła na ławie i odetchnęła. Nie miała już wątpliwości, że jej narzeczony powściąga swoje pożądanie, by dotrzymać obietnicy, jaką złożył Gordonowi.

Otworzyła oczy i zaśmiała się cicho. No dobrze, kocha go całą duszą. A dlaczegóż miałyby go nie kochać? Jakiemu jeszcze mężczyźnie starczyłoby sił, by odejść, zamiast skorzystać z pokusy?

Lindsay zaśmiała się jeszcze raz. Potem narzuciła na ramiona futro i szybkim krokiem wyszła z domu. Wiedziała, że musi znaleźć Morgana, choć nie miała pojęcia, co zrobi, kiedy go odszuka.

Stał nad potokiem. Oddychał głęboko, wciągając w płuca zimne nocne powietrze. Udało się. Zdobył się na to, żeby się od niej oderwać. Z ledwością. Jeszcze chwila i byłby gotów się z nią kochać, choćby nawet w chacie na podłodze. Dla dobra ich obojga starał się zapanować nad sobą, ale w końcu jest tylko człowiekiem, a Lindsay ofiarowała mu wszystko, czego pragnął.

Niejedna dziewczyna próbowała zdobyć jego serce i zostać panią zamku. Odkąd był rycerzem, wiele niewiast proponowało mu, by spędził z nimi noc, lecz on nie przestał marzyć o czymś więcej. Jak wygląda prawdziwa miłość, nauczył się w domu, patrząc na własnych rodziców. Ich uczucie było jak promień słońca. Morgan zawsze wiedział, że nie zrezygnuje z wolności za niższą cenę.

W Lindsay znalazł wszystko, czego pragnął. Była dobra i szlachetna. Chciał ją przytulić, kochać się z nią, posiadać ją.

Zacisnął dłonie w pięści i spojrzał w usiane gwiazdami niebo. Tak. Prawda była taka, że pragnął Lindsay. Nawet w tej chwili, choć odkąd wyszedł z domu, minęła już długa chwila.

- Tu jesteś.

Słyszając jej głos, odwrócił się na pięcie. Na widok gorączki mączącej oczy Morgana, Lindsay poczuła lęk. Zakłopotana, uniosła dłoń do ust.

- Po co tu przyszłaś, Lindsay?

- Ja... - Pokonała lęk. - Musiałam cię zobaczyć, żeby ci coś wyjaśnić.

- Niczego nie musisz mi wyjaśniać.

Spojrzał gdzieś w ciemność, byle tylko nie widzieć oczu dziewczyny.

Przez chwilę milczała, patrząc na jego kamienną twarz, w końcu jednak przemogła

niepewność i odezwała się jeszcze raz:

- Masz rację - powiedziała łagodnym tonem.- Chyba się myliłam. Może to ty powinieneś mi coś wyjaśnić.

Nie spojrział na nią.

- Już późno, Lindsay. Wracaj do domu i kładź się spać.

- Nie.

Zrobiła krok w kierunku Morgana. Wyciągnęła ręce i położyła mu na ramionach.

- Co to za gra, Lindsay? - spytał szorstko.

- To nie jest żadna gra. Po prostu chcę być z tobą. Przysunęła się do niego bliżej i pocałowała go lekko w policzek.

Dotknięcie jej ust wyzwoliło w Morganie taką eksplozję namiętności, że ledwie stłumił jęk.

- Igrasz z ogniem, Lindsay.

- To prawda, płonie w nas ten sam ogień. - Przyciągnęła go bliżej i popatrzyła mu w oczy. - Czy nie widzisz go w moich oczach? Kocham cię. Kocham cię jak nikogo na świecie i chcę, żebyś mnie posiadał.

Złapał ją za ramiona.

- Posłuchaj, Lindsay. Zrobiłem, co mogłem, żeby oszczędzić twoją cnotę, ale jestem tylko człowiekiem. Jeśli będziesz się upierać, nie będzie odwrotu.

- Nie zamierzam się cofać. Nie chcę zostać samotną dziewczyną, która tylko marzy o swoim rycerzu. - Oczy Lindsay wypełniły się łzami. Zaczęła mrugać powiekami, starając się odzyskać panowanie nad sobą. - Jesteśmy razem i chcę się z tobą kochać. Chcę, żebyś mnie kochał. Tu i teraz, nad potokiem.

Uścisk dłoni Morgana na jej ramionach zelżał. W oczach dziewczyny nie znalazł niczego prócz miłości i pragnienia.

- Och, Lindsay - powiedział miękko - nie mam już siły dłużej z tobą walczyć. Bóg mi świadkiem, że robiłem, co mogłem. - Przytulił ją mocno i przytknął czoło do jej czoła. - Nie mam siły.

Umilkł i obsypał jej skronie i policzki pocałunkami. Jego usta powoli zbliżały się do jej warg.

Morgan zatracił się w namiętnym, gorącym pocałunku.

Gdy w końcu uniósł głowę, uczynił to tylko po to, by przenieść wargi na jej czoło. Stamtąd jego usta powędrowały powoli w dół. Wszędzie, gdzie jej dotknął, przeszywały ją niesamowite, cudowne dreszcze. Jego wargi pieściły jej oczy, potem przesunęły się po policzku do ucha. Lindsay niecierpliwie wysunęła usta, lecz on zaskoczył ją, gdy czubek języka wsunął się do jej ucha.

Zadrzała i usunęła głowę, a usta Morgana jak lawina pędziły po jej wysmukłej szyi. Lindsay nie tyle przytulała się do niego, ile raczej wisiała na nim, bo od jego pieszczot ugięły się pod nią nogi.

Morgan delikatnie pomógł jej osunąć się na futro, które spadło jej z ramion, i ukląkł.

- Możesz się jeszcze wycofać, Lindsay.

Położyła dłoń na piersi Morgana. Jego serce biło równie mocno jak jej własne.

- Nie chcę się wycofywać - odpowiedziała zdecydowanie. Objęła go za szyję i przyciągnęła ku sobie. Pragnęła pocałunków, które działały na nią jak narkotyki.

- Chwała Bogu - odpowiedział - bo gdybyś chciała się cofnąć, błagałbym cię na kolanach, żebyś została.

Myśl, że ten dumny rycerz gotów był paść jej do kolan, była zdumiewająca, ale Lindsay nie miała czasu do namysłu, bo zasypały ją kolejne gorące pocałunki. Mimo nocnego chłodu, zrobiło jej się gorąco.

Z trudem panował nad pragnieniem, by połączyć się z Lindsay, ale pamiętał, że to jej pierwszy raz, więc przeciągał pieszczoty i pocałunki. Chciał być czuły i troskliwy. Tylko tyle mógł jej ofiarować.

Jego dłonie lekkimi ruchami pieściły kark i ramiona dziewczyny. Potem przesunął je wyżej, przeciągając opuszki

palców po jej uszach i szyi, by po chwili dotrzeć do jędrnych piersi. Jego pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne i gwałtowne. Lindsay czuła, jak niezwykle pragnienie narasta w niej, coraz mocniej i mocniej.

Bez oporu poddawała się jego pieszczotom, on zaś zwalniał, gdy tylko wyczuwał jej wahanie. Pozwolił, żeby to ona narzuciła tempo ich pierwszej miłosnej nocy, a ona czuła, jak rośnie w niej zaufanie.

Wierzyła mu. Nie drgnęła, gdy zaczął rozpinąć guziki jej nocnej koszuli.

Morgan z trudem oparł się chęci, by rozedrzeć materiał jednym szarpnięciem i ujrzeć ciało Lindsay. Wiedział, że nie powinien tego robić. Dobrze rozumiał niepewność dziewczyny, wiedział, że ona potrzebuje jego czulej delikatności.

- Jesteś taka piękna.

Przypomniawszy mu się wieczór, gdy po raz pierwszy dostrzegł piękno jej ciała. Wtedy była wzburzona, teraz wahała się między nieśmiałością a dumą, jaką napawał ją jego podziw.

- Jesteś jeszcze cudowniejsza, niż mi się wydawało.

Drżącymi rękami sięgnęła do ramienia Morgana, by rozwiązać zawiązany na supeł pled. Gdy zawiodły ją własne palce, Morgan wyręczył ją i pled opadł obok nocnej koszuli dziewczyny.

Z jękiem MacLaren zawładnął ustami Lindsay. Niepokój, jaki odczuła, gdy zsuwał z niej koszulę, zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Lindsay objęła mocno Morgana i przytuliła się do niego, podczas gdy on wędrował dłońmi po jej ciele, poznając jego cudowne ciepło i słodycz. Zapamiętanie, z jakim to czynił, dodało dziewczynie odwagi. Jej dłonie i usta podjęły podróż po ciele mężczyzny, który miał uczynić ją kobietą.

Wiedział, że mógłby ją osiąść już w tej chwili, lecz wciąż zwlekał. Pragnął Lindsay, lecz chciał jej dać coś więcej niż czysto zmysłową przyjemność. Chciał, żeby poznała całe piękno miłości.

Łagodnie ułożył dziewczynę na futrze i przesunął ustami po jej ciele, docierając aż do piersi. Leciutko chwycił zębami naprężoną brodawkę i zaraz zwolnił uścisk, by językiem podrażnić sam czubeczek piersi.

Lindsay jeszcze nigdy w życiu nie zaznała takiej rozkoszy. Wyprężyła się i przylgnęła całym ciałem do Morgana.

Nie dał jej czasu na złapanie tchu. Coraz żarliwiej ją całował, zabierając w czarodziejską podróż.

Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami. Choć nie wydawało jej się to

możliwe, chciała czegoś więcej, jakkolwiek miałoby to wyglądać.

- Kochaj się ze mną! - szepnęła żarliwie.

Gdy w nią wszedł i zaczął się poruszać, przytuliła się do niego mocno i przymknęła powieki.

Morgan wciągnął głęboko zapach sosnowego lasu i wiedział, że do końca życia zapach drzew będzie przypominał mu i tę chwilę, i tę niezwykłą, cudowną kobietę, która ocaliła mu życie i wzbudziła w nim miłość.

- Lindsay... - Morgan uniósł głowę, by spojrzeć na ukochaną opierającą głowę na jego piersi.

Jej rzęsy zatrzepotały i znów ujrzał zielone oczy, bezdenne jak górskie jeziora.

- Tak, kochanie?

Kochanie... Morgan uśmiechnął się do swoich myśli.

- Już późno. Nie śpij na ziemi. Chodź do domu. Przesunął ustami po jej wargach i natychmiast poczuł

świeży przyływ pożądania. Czy zawsze tak będzie? - spytał

samego siebie. Czy zawsze, ilekroć jej dotknie, będzie go ogarniała fala gorąca?

Tę noc spędzili na przemian to kochając się, to zapadając w krótki sen. Zarówno w chwilach, gdy ogarniała ich gorączka miłości, jak i wtedy, gdy spali, zapominali o reszcie świata. A kochając się, za każdym razem robili to inaczej, wciąż odnajdując się w ostatecznym spełnieniu.

Lindsay przylgnęła ustami do szyi Morgana i usłyszała, jak gwałtownie chwyta powietrze. Uradowana niezwykłą władzą, jaką nad nim miała, cofnęła nagle biodra i - jak się tego spodziewała - usłyszała jęk zawodu. Na myśl o tym, jak bała się kiedyś tego pierwszego razu, chciało jej się śmiać.

- Dlaczego niektóre kobiety - spytała go nieoczekiwanie - nie lubią się kochać?

- Musiały trafić na jakichś okrutników bez serca.

- Takich jak Heywood Drummond? - szepnęła.

Gdy wspomniała chciwego kupca, krew w Morganie zawrzała, ale szybko stłumił gniew. Teraz mieli ważniejsze sprawy na głowie.

- Posłuchaj, Lindsay. Muszę ci powiedzieć coś ważnego. Na początku nie chciałem o tym mówić, bo... -Z trudem znajdował słowa. - Bałem się, że zaczniecie traktować mnie inaczej. A potem jakoś nigdy nie było okazji. Teraz muszę ci to wyznać.

Lindsay położyła mu palec na ustach.

- Masz już żonę? Splótł palce z jej palcami.

- Nie, głuptasie. Nie co dzień spotyka się takie kobiety jak ty.

- Jesteś z kimś zaręczony?

- Nie.

Lindsay westchnęła z ulgą.

- A tak się przestraszyłam. Miałeś taką poważną minę. Jeżeli nie chodzi o kobietę, to znaczy, że musiałeś zrobić coś strasznego. Czy ściga cię prawo, Morganie MacLarenie?

- A czy kochałabyś mnie wtedy? - uśmiechnął się Morgan.

- Tak. I dobrze o tym wiesz. Jak zatem? Czy popełniłeś jakaś zbrodnię?

- Nie. Nie o to chodzi, ale to, co powiem, sprawi, że będziesz na mnie patrzyła inaczej. - Morgan nieraz spotkał się z tym, że ludzie traktują go w szczególny sposób,

wiedząc, kim jest.

Lindsay pokręciła głową i musnęła jego wargi ustami.

- Nic nie zmieni tego, co czuję. Czy będziemy się jeszcze kochać tej nocy?
- Jak tak dalej pójdzie, nie skończymy do południa.
- Hm. - Lindsay całowała go na oślep po twarzy. - Nie mogę się doczekać, co mi jeszcze pokażesz.

Przygarnął ją mocno i pocałował.

- Co robisz? - Spojrzała mu w oczy. - Jeśli nie skończymy do południa, to zastaną nas tu Gwen i Brock.
- Jeszcze mamy trochę czasu.

Ujął twarz Lindsay w dłonie i zamknął jej usta pocałunkiem. Ich śmiech zmienił się w westchnienia, a potem wyruszyli w kolejną wspólną podróż do krainy miłości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dokąd się wybierasz, ojczy? - Lindsay omal nie upuściła garnka z owsianką, gdy zobaczyła, że Gordon wciąga wysokie buty i wyjmuje ze skrzyni ciepły płaszcz.
- Brock widział w lesie wóz tego młodego handlarza, Sterlinga Fergusona. Pamiętasz go. Przejeżdżał tędy w zeszłym roku z żoną. Chcę się z nim zobaczyć.
- Aha - odpowiedziała Lindsay. Gordon Douglas zwrócił się do Morgana.
- Ferguson jest sympatycznym mężczyzną w twoim wieku. Jeździ od miasta do miasta i od wsi do wsi, sprzedając, handlując i roznosząc nowiny. Może wybierzesz się ze mną? Pogawędzimy przy kubku grzanego piwa.
- A ja? A ja? - Gwen i Brock kręcili się podnieceni wokół dziadka.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo.

- Chodźcie koniecznie. Idą święta Bożego Narodzenia, pora trochę pohandlować. Od dłuższego czasu w skromnej chacie panowała pogodna i szczęśliwa atmosfera. Miłość Morgana i Lindsay zdawała się promieniować na resztę mieszkańców domu jak ciepło z kominka, do którego młody rycerz co i rusz dorzucał drewno. Rany Morgana niemal się zagoiły. Jeszcze trochę i starczy mu sił, by wracać do domu. Mieli jechać razem. Lindsay i dzieci nie mogły się nacieszyć myślą, że pojedą pod opieką młodego, silnego rycerza do jego domu, gdzie będą odtąd żyć w spokoju i dostatku. Odkąd w to uwierzyli, Wigilia Bożego Narodzenia zdawała się im jeszcze bardziej niezwykłym dniem niż dotąd.

- Weź konia, ojciec - powiedziała, nakładając owsiankę do misek. - Nigdzie się dzisiaj nie wybieram.

- Nie będę potrzebował konia.

Gordon jechał pośpiesznie, nie mogąc się doczekać chwili, gdy młody handlarz doradzi mu jakiś prezent ślubny dla Lindsay. Za swoje pieczołowicie gromadzone zapasy tytoniu Gordon spodziewał się co najmniej jedwabnego paska do jedynej sukni Lindsay albo wstążki do włosów. Wiedział, że dzieci gromadzą własne drobne skarby w postaci ziół i skórek.

- Brock mówi, że wóz Fergusona stoi tuż za potokiem. Morgan spojrzał na Lindsay.

Na policzkach dziewczyny

pojawiły się rumieńce. Wiedział, że oboje myślą o tym samym. Kiedy Gordon wyjdzie z dziećmi, będą mieli strych dla siebie.

Gordon, Gwen i Brock szybko zjedli śniadanie i natychmiast wyruszyli w drogę. Morgan i Lindsay patrzyli za nimi, dopóki cała trójka nie zniknęła im z oczu. Gdy tylko to nastąpiło, pośpiesznie, jak para spiskowców, zamknęli drzwi i wspięli się po drabinie na górę. Czekala ich niezwykła uczta. Zamiast na trawie nad brzegiem potoku, mieli się kochać na sianie.

- Lindsay! Lindsay! - Oboje zerwali się na równe nogi. Drzwi do chaty były szeroko otwarte, a w progu stał zdyszany Brock.

- Co się stało, Brock?

- Handlarz... - Chłopiec urwał, by zaczerpnąć tchu. -

Jego żona właśnie rodzi, ale stało się coś złego. Nie wiem co, ale dziadek powiedział, że musisz natychmiast przyjść!

Lindsay błyskawicznie wciągnęła przez głowę sukienkę i zbiegła po drabinie. Morgan okrył się pledem, udając, że nie dzieje się nic szczególnego.

- Od jak dawna jego żona ma bóle? - spytała Lindsay.

- Ferguson powiedział dziadkowi, że jego żona czuje bóle od kilku dni, ale ponieważ przez ostatni tydzień cały czas byli w drodze, sądzili, że to z powodu kołysania wozu. To ich pierwsze dziecko i żadne z nich nie wie, co robić. Są bardzo wystraszeni.

Lindsay owinęła stopy onucami i wsunęła nogi w buty. Wciągnęła przez głowę sweter. Chłopiec podrapał się w głowę.

- Ferguson przyniósł też złe wieści o naszym panu. Morgan zamarł w bezruchu.

- Złe wieści o naszym panu? - Lindsay przebierała wśród stojących na półce słoików z maściami i suszonymi ziołami.

- Tak. Ferguson powiedział, że nasz lord ciężko zaniemógł, odkąd utracił jedyne syna.

- Co? - krzyknął z góry Morgan. - Nasz pan jest chory? Co się stało?

- Jego syna napadnięto, gdy jechał z jednym tylko towarzyszem. Syn naszego pana polecił swemu przyjacielowi gnać do zamku po posiłki, a sam został, by walczyć z wrogiem. Kiedy ludzie z zamku dotarli na miejsce, nie znaleźli tam syna naszego lorda. Ani chybi musieli go porwać napastnicy. Nie wiadomo, czy nasz pan wróci do zdrowia po tym ciosie, jaki na niego spadł. Lord powiedział, że jego miejsce ma zająć siostrzeniec.

Lindsay ruszyła rażno do drzwi.

- Szykuje się ciężka zima. Wieść o śmierci naszego pana nie wróży nam niczego dobrego.

- Lindsay! - Morgan omal nie spadł z drabiny. - Lindsay! Poczekaj! Muszę ci coś powiedzieć.

- Teraz nie mam czasu. Dziewczyna jest bliska śmierci, kochanie. Powiesz mi o wszystkim, kiedy wrócę.

- Niczego nie rozumiesz...

Nawet nie stanęła, żeby go wysłuchać. Wyszła z domu, a Brock wybiegł za nią.

Morgan został w chacie sam. Zamyślił się głęboko. W końcu podjął decyzję, położył na stole kawałek papieru i szybko napisał parę słów.

„Niczym się nie martw, Lindsay. Poczekaj na mnie. Niedługo wrócę. To ja jestem jedynym synem lorda. Wszystko Ci wyjaśnię. Wybacz mi, że zabrałem konia. Nie mam ani chwili do stracenia. Pamiętaj, że nigdy nie będę kochał żadnej innej kobiety. Jesteś tylko Ty. Morgan”.

Modląc się, by zdążył na czas, porwał łuk i wypadł z domu. Osiodłał stojącego w niskiej stajni konia i popędził galopem.

- Jestem z ciebie dumny, dziewczyno. - Gordon Douglas maszerował rażno, by dotrzymać kroku córce, ale w pewnej chwili chwycił go taki atak kaszlu, że wszyscy musieli na niego poczekać. - Gdyby nie ty, już byłoby po żonie i dziecku Fergusona.

Lindsay kiwnęła głową. Była zbyt zmęczona, by wdawać się w rozmowę. Przez ostatnie kilka godzin nieustannie masowała, dodawała otuchy, przemawiała i pocieszała targaną bólami porodowymi kobietę. Wytężyła wszystkie siły, by nie dopuścić do katastrofy i odebrać skomplikowany poród. W tej chwili nie marzyła o niczym poza tym, by odpocząć w ramionach Morgana.

Gdy Gordon dostał kolejnego ataku kaszlu, Lindsay mimo całego swego znużenia i zmęczenia poczuła nieoczekiwany strach. Zima będzie długa, oby nie okazała się zbyt długa dla jej schorowanego ojca. Całą nadzieję pokładała w opiece narzeczonego.

Dzieci pobiegły przodem i otwały drzwi do chaty. Izba była pusta. Po zwęglonych kłodach na palenisku pełgały wątle ogniki. Podmuch wiatru porwał kawałek papieru, który wpadł w żar. Płomienie natychmiast podskoczyły i zatańczyły.

- A to co? - Starszy mężczyzna sięgnął do paleniska, wyciągnął płonąca kartkę i zdusił płomień.

Lindsay, Gwen i Brock otoczyli go ciasnym wianuszkiem. W izbie było ciemno i zimno. Nikt nie zapalił świec, by odpędzić mrok. Nie pachniało mięsem ani chlebem.

- Gdzie może być Morgan, jak myślisz, Lindsay? - spytał chłopiec.

- Może w stajni. Pójdź po niego, Brock, proszę. Powiedz, że już jesteśmy w domu.

- Zaczekaj chwilę - odezwał się Gordon Douglas, który przez cały czas wpatrywał się w osmalony papier.

Bez słowa wręczył niedopalone resztki listu córce, a gdy czytała, patrzył na nią zaniepokojony.

Lindsay przeczytała to, co zostało z listu, raz, a potem drugi, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Biegnij, zobacz, czy koń jest w stajni, Brock! - krzyknęła nieswoim głosem.

Chłopiec wypadł bez słowa i zaraz wrócił.

- Nie ma, Lindsay - powiedział cicho.
- Nie ma też łuku ani strzał. Wielki Boże, tego się właśnie bałam. - Lindsay opadła na krzesło i zasłoniła twarz rękami.

Kartka wypadła jej z rąk. Gordon podniósł papier i odczytał dzieciom wszystko, co zostało z listu. Choć większa część była spalona, kilka ocalałych słów jasno wyrażało myśl autora.

„nie... czekaj na mnie. Nie... wróć. Wybacz... zabrałem konia i oręż... nie kocha...”

Każde słowo było dla Lindsay jak śmiertelny cios. Nie zważając na nic płakała, dopóki nie zabrakło jej łez.

W nocy, gdy Gordon i dzieci poszli spać, długo siedziała przed kominkiem, przypominając sobie wszystkie chwile, jakie spędziła z Morganem MacLarenem. Jak śmiał oszukać ją w tak okrutny sposób?! I dlaczego była tak głupia, by myśleć, że Morgan naprawdę ją kocha. Jak mogła być taka ślepa?!

Teraz przyszła pora, by stawić czoło bolesnej prawdzie. Oddała serce złodziejowi i łajdakowi. A co gorsza, jeśli okaże się, że jest z nim w ciąży, co wydawało się całkiem możliwe, za jej szaleństwo przyjdzie zapłacić tym, których najbardziej kochała. Kiedy rozniesie się wieść o jej grzechu, cała wieś odwróci się od nich z pogardą.

W pewnej chwili Lindsay wstała i poruszając się jak lunatyczka, naszykowała ciepły płaszcz i futrzane onuce. Musiała ratować najbliższych. Nie zostało jej nic innego, jak przyjąć oświadczyń Heywooda Drummonda.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tego roku Boże Narodzenie było dla szkockich górali świętem zarazem smutnym i szczęśliwym. Było smutne, bo rozeszła się wieść o śmierci powszechnie szanowanego starego lorda, który słynął z tego, że zawsze dotrzymywał danego słowa, nigdy nie opuszczał towarzyszy walki i niestrudzenie walczył przeciw najeźdźcom. Było jednak także szczęśliwe, bo stary pan zmarł w ramionach jedyne go syna, który, jak się okazało, nie zginął w walce, lecz tylko odniósł ciężkie rany i po wielu tygodniach, gdy nikt się już go nie spodziewał, wrócił do zamku. Na pytanie, jaki jest młody lord, ludzie odpowiadali, że jest godny swego ojca - mężny i słowny. Góry pokrył śnieg. Wokół zrobiło się dziwnie cicho. Ludzie we wsi cieszyli się, bo przyjechał ksiądz, by ochrzcić dzieci i udzielić ślubu młodym. W tym roku jednak do ołtarza miała przystąpić tylko jedna para - Lindsay Douglas i Heywood Drummond. Drummond był znanym bogaczem, więc cała wieś tłoczyła się w małym wiejskim kościele, by napatrzeć się na niecodzienne widowisko.

Lindsay siedziała przygarbiona w zakrystii. Gordon Douglas chodził po niewielkim pomieszczeniu w tę i z powrotem.

- Gdzie jest Brock, ojczu?
- Nie chce tego widzieć. I wcale mu się nie dziwię. Nie możesz tego zrobić, dziewczyno!
- Muszę.
- Czemu nigdy nie chcesz mnie posłuchać? - Starszy mężczyzna zaniósł się

kaszlem. W oczach Gwen pojawił się niepokój.

Ze względu na ciebie, pomyślała Lindsay. Ze względu na ciebie, Gwen i Brocka.

Ale nie powiedziała tego głośno.

- Wszystko jest już przygotowane, ojciec. Nie mogę się teraz wycofać.

- Ty go nie kochasz, Lindsay! - Gordon uderzył pięścią w stół.

- Czy miłość jest lekiem na wszystko? - Lindsay zadarła wojowniczo brodę. - Jeśli tak, to już powinnam być szczęśliwa, bo kochałam Morgana MacLarena. A on... - zaśmiała się gorzko - ...on w zamian ukradł wszystko, co mieliśmy cennego. Teraz wiem, ile warta jest miłość.

Ojciec spojrział córce w oczy i dostrzegł w nich bezdenną pustkę, jakby cały świat przestał dla niej cokolwiek znaczyć.

- A jeśli Heywood spełni swoje groźby i rzeczywiście odda dzieci na wychowanie temu dzierżawcy?

Lindsay przyjęła ten cios bez mrugnięcia okiem.

- Przynajmniej będą miały co jeść i gdzie spać. - To samo mają w domu.

- Nie. Kiedyś to mieli, ale teraz...

Gordon dostrzegł w oczach córki strach. Czy ukrywała coś przed nim? Dlaczego nagle odechciało jej się wszystkiego, jakby zabrakło jej sił czy jakby była chora? Gordon popatrzył na córkę i nieoczekiwanie przyszło mu coś do głowy.

Z głośnym westchnieniem ukląkł przed Lindsay.

- Czy ty spodziewasz się przychówku, dziewczyno? - spytał łagodnie.

Lindsay nie spojrzała mu w oczy. Widział, że robi, co

może, by ukryć wzbierające pod powiekami łzy. Pokręciła głową.

- Nie wiem. Gdyby tak było, to za rok będzie już za późno, by cokolwiek naprawić. Stalibyśmy się pośmiewiskiem całej wsi, a ja musiałabym patrzeć, jak umiera z głodu jeszcze jedna ukochana istota.

- Och, dziewczyno. - Gordon objął córkę i przygarnął do piersi.

Przypomniało mu się, jak tulił ją i kołysał, gdy była mała. Zacisnął zęby, żeby powstrzymać szloch. Potem znów zaniósł się kaszlem.

W kościele rozbrzmiała muzyka. Gordon smutno potrząsnął głową. Kiedy był silnym i dumnym rycerzem, coś takiego byłoby nie do pomyślenia, ale teraz... Teraz przyszła pora, by przyznać się przed samym sobą do klęski. Starość, choroba i los sprzysięgły się przeciw niemu.

Wziął wnuczkę za rękę i wyszedł do nawy. Oboje zajęli swoje miejsca wśród ludzi czekających na chwilę, gdy Lindsay stanie się żoną Heywooda Drummonda.

Drogą wśród gór pędziła kawalkada jeźdźców. Na czele galopował Morgan MacLaren. Za nim jechali jego rycerze i wymoszczone puszystymi futrami sanie, zaprzężone w czwórkę siwych koni.

Choć jechali tak od rana, wszędzie witani radosnymi okrzykami, Morgan nie czuł zmęczenia. Na myśl o tym, kto go oczekuje, przebiegł mu po plecach dreszcz.

Pomyślał o minie, jaką będzie miała Lindsay, gdy stanie w drzwiach chaty z tymi wszystkimi prezentami, jakie dla niej przygotował. W skrzyni na saniach wiózł białą, koronkową suknię i płaszcz z białej satyny, podbity gronostajami, skórzane buciki i welon z muślinu, delikatny jak pajęczna nić.

Sięgnął ręką i dotknął zawieszanej na szyi sakiewki. Znajdował się w niej prosty złoty łańcuch, który nosiła kiedyś jego matka, a przed nią babka. Łańcuch był symbolem nie kończącej się miłości. Jeszcze dzisiejszego wieczoru miała go zawiesić na szyi jego żona.

Zbliżyli się do kolejnej wsi. I tu także wyszli im naprzeciwko ludzie oczekujący błogosławieństwa swego pana-. Morgan stłumił odruch zniecierpliwienia. Wiedział, że musi się zachowywać jak godny następca ojca, a poza tym jeszcze tylko godzina i Lindsay zostanie jego żoną.

Po krótkiej rozmowie z witającymi go ludźmi, MacLaren zwrócił się do swojej załogi:

- Pojadę przodem, by powitać narzeczoną. Jedźcie za mną. Chata stoi za wsią, niedaleko od płynącego przez las potoku.

Popędził konia i wysforował się przed orszak. Nie mógł doczekać się chwili, gdy spojrzy w oczy Lindsay. Kiedy jednak wpadł na podwórze, ku swemu zdumieniu odkrył, że w domu jest zupełnie ciemno. Zeskoczył z konia i wszedł do środka. Na kominku dopalały się grube polana.

- Lindsay! Odpowiedziała mu cisza.

W kącie coś się poruszyło. Morgan wsunął świecę do ognia, a gdy zapłonęła, uniósł do góry, by rozejrzeć się po izbie. Dostrzegł wciśniętego w kąt Brocka. Gdy podszedł bliżej, odkrył, że chłopiec ma oczy zapuchnięte od płaczu.

- Brock! Co się tutaj stało? - Morgan przykucnął obok malca. - Co się stało z twoją ciotką, siostrą i dziadkiem? Czemu jesteś sam?

- To wszystko przez ciebie! - rzucił chłopiec.

- Co to znaczy?

- Jakbyś nie wiedział. Przecież to twój list, prawda? Chyba nie zaprzeczysz!

Brock wyciągnął rękę i podał Morganowi zmiętoszony, nadpalony kawałek papieru.

Morgan wygładził kartkę i zaczął studiować to, co zostało z jego listu.

- To nie mój list. - Popatrzył na chłopca. - To znaczy, list jest mój, ale większa część kartki spłonęła i moje słowa zupełnie zmieniły znaczenie. Jeśli Lindsay to przeczytała, musiała mnie znienawidzić. Ty pewnie też.

Brock pokręcił głową.

- Nie czuję do ciebie nienawiści. Lindsay też nie. Ale przez to, że odjechałeś, zabierając konia, musiała oddać rękę Heywoodowi Drummondowi.

- Nie! - Morgan zerwał się, jakby ogarnęły go płomienie.

Słyszac tętent koni, wybiegł przed chatę. Brock zerwał się i pobiegł za nim.

- Czy narzeczoną ucieszyła się z twego przyjazdu, panie? - zapytał któryś z towarzyszy Morgana.

Nie odpowiedział. Wskoczył na konia i posadził przed sobą Brocka. Rzucił krótką komendę i pogalopował. Kawalkada ruszyła w jego ślady.

Wielki Boże! Jeśli chłopiec się nie mylił, Lindsay już jest w kościele i lada chwila na zawsze przekreśli wszystkie jego marzenia o szczęściu.

Popędził konia i modlił się, by zdążyć, zanim jego umiłowana poślubi innego i popełni największy błąd w swoim życiu.

Nim Lindsay zebrała siły, by wyjść do nawy, ktoś otworzył jednym pchnięciem

drzwi do zakrystii. Do środka wszedł Heywood Drummond. Miał na sobie czarne jak węgiel szaty i zawieszony u pasa miecz, ten sam, który tak tanio od niej kupił. W szlachetnych kamieniach, którymi wyłożona była rękojeść, odbijał się migotliwy blask świec.

- Nie powinieneś tu wchodzić, Heywood. Ludzie mówią, że widok panny młodej przed ślubem przynosi nieszczęście.

Heywood uśmiechnął się pogardliwie.

- Zawsze wierzyłem, że każdego spotyka w życiu to, na co sobie zasłużył.

Wyciągnął rękę i Lindsay odruchowo cofnęła się przed nim. Chwycił ją za ramię i przyciągnął.

- Spróbuj tylko zachowywać mi się tak po ślubie! - rzekł groźnie.

- Po ślubie nie będę ci niczego odmawiała. Po ślubie.

- To już lepiej.

Puścił ją i oparł się o drzwi. Lindsay nie mogła ruszyć się z miejsca.

- Pamiętaj - dodał Heywood - że zaraz po ślubie twój ojciec i ta mała mają wynieść się do domu.

- Myślałam, że zamieszkamy razem. Obiecałeś, że będziesz troszczył się o moją rodzinę.

- Obiecałem i dotrzymam słowa, ale od dawna już żyję sam i przywykłem do spokoju. Za kilka dni twój ojciec będzie mógł się do nas wprowadzić, o ile zapamięta, że ma siedzieć w kuchni i nie pyskować. A dzieciaki twego brata oddam do dzierżawcy w sąsiedniej wsi, o którym już mówiłem.

Na jej zdruzgotane serce spadł kolejny cios.

- Dałeś mi słowo, że się nimi zaopiekujesz.

- Już mój dzierżawca się nimi zajmie.

- Jaki to człowiek? Łagodny czy surowy?

- A co mnie to obchodzi? Jeśli dzieciaki będą wszystko robić, jak trzeba, dostaną jeść i będą miały gdzie spać. - Nie wspomniał o złotej monecie, jakiej zażądał w zamian za dwie dodatkowe pary rąk do pracy. - Nie wszyscy mieszkańcy tego biednego kraju mogą to o sobie powiedzieć.

- Ale oni są jeszcze tacy mali.

- Byłem mniejszy od nich, kiedy musiałem sam o siebie zadbać. Wyszło mi to tylko na zdrowie. No co, może nie? Popatrz tylko na mnie!

Lindsay przebiegł dreszcz.

Heywood uznał jej milczenie za zgodę i odwrócił się do drzwi.

- No chodź, niech wieśniacy się cieszą. Pamiętaj, że wszystko ma pójść szybko i sprawnie, bo mam chęć na pannę młodą - rzucił przez ramię.

Nie poszła za nim. Kiedy drzwi się zamknęły, padła na kolana i modliła się o siłę, by przebrnąć ten straszny wieczór.

Najgorsze było to, że z ulgą gotowa była powitać śmierć jako zło mniejsze od małżeństwa z Heywoodem Drummondem.

Morgan galopował przez wieś. Domy stały ciemne i głuche.

- Gdzie są ludzie?

- Są w kościele, chcą zobaczyć uroczystość. Morgan popędził konia.

Przed drzwiami kościoła zeskoczył z końskiego grzbietu, zdjął Brocka i obaj puścili się biegiem do wejścia.

Wewnątrz byli wszyscy mieszkańcy wsi. Patrzyli na piękną dziewczynę, która ociągając się szła w kierunku ołtarza, gdzie czekał na nią Heywood Drummond w czarnych szatach. Kiedy MacLaren zrozumiał, że zdążyli na czas, odetchnął z ulgą.

Ksiądz uniósł głowę. Na widok gromady uzbrojonych mężczyzn w jego oczach pojawił się niepokój.

- Nie macie prawa przeszkadzać w służbie bożej - napomniął niespodziewanych gości.

- Owszem, mamy po temu dobre prawo - zaprotestował energicznie Morgan.

Na jego głos wszyscy odwrócili głowy. Nie zważał na to. Widział tylko drobną sylwetkę Lindsay. Wpatrywała się w niego, jakby ujrzała zjawę.

Ruszył wzdłuż nawy, pośród zaskoczonych ludzi. Zatrzymał się dopiero przed Lindsay.

Gdy go ujrzała, we wzorzystym kilcie MacLarenów, zaniemówiła.

Wyciągnął do niej dłoń z osmalonym skrawkiem papieru.

- Brock powiedział, że tyle zostało z mojego listu. Miała tak ściśnięte gardło, że nie mogła wykrztusić słowa.

Skinęła głową.

- Ale to nie wszystko, co napisałem. Większą część listu strawił ogień.

- To... - Lindsay z trudem zbierała myśli. - To nie ma znaczenia. Nie musiałeś do mnie wracać, Morganie MacLa-renie. Nic nas nie wiąże.

W oczach Morgana zapłonęła złość.

- Owszem, pani, wiele nas wiąże. Dobrze o tym wiesz. Nie połączyły nas wypowiedziane przy ludziach słowa, ale uczucie, jakie mamy w sercu.

Na te słowa poruszył się niespokojnie Heywood Drummond.

- Nie masz prawa mówić tak do kobiety, która zaraz zostanie moją żoną.

Morgan popatrzył na niego z pogardą.

- Widzę, że nosisz miecz, który dostałem od ojca. Oddaj mi go.

Dłoń Heywooda zacisnęła się na wysadzanej klejnotami rękojeści.

- Zapłaciłem za ten miecz szczerym złotem.

- Tak, wiem nawet, ile dałeś tego złota. Trzy sztuki złota za miecz wart dziesięć razy tyle. Ale to nic. - Morgan ujął mieczek i wyciągnął z niego trzy złote monety. - Jeszcze masz wybór. Albo walcz z mieczem w ręku jak mężczyzna, albo zabieraj swoje trzy sztuki złota i odejdz. Osobiście radziłbym ci zdecydować się na złoto.

Prawda była taka, że z przyjemnością zatopiłby miecz w piersi tego łajdaka, ale Heywood Drummond, choć nikczemny, nie był głupi. Z oczu stojącego przed nim mężczyzny wyzierała mordercza furia. Heywood miał ochotę popisać się przed wieśniakami zręcznością we władaniu mieczem, ale bał się, że nie przeżyłby tego starcia.

Odpiął miecz i podał go Morganowi.

- Mądry wybór, Drummond.

Odebrał broń z rąk Heywooda. Odpiął pas i odczepił miecz, który nosił do tej pory, i podał jednemu ze stojących obok wojowników.

- Oddaj go Gordonowi Douglasowi wraz z wyrazami szacunku - polecił.

Mężczyzna skłonił się przed nim.

- Jak każesz, panie.

- Panie? - Heywood Drummond pobladł i cofnął się o krok.

Lindsay otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- Co to znaczy? - spytała. - Jesteś naszym lordem?

- Tak, pani. - Uśmiechnął się do niej promiennie. - Dlatego musiałem opuścić was tego dnia, gdy usłyszałem, że mój ojciec umiera. Bałem się zwlekać choćby chwilę.

- Twój ojciec? - Lindsay oblizwała wyschnięte nagle usta. - Koń? Łuk i strzały?

- Kiedyś służyły memu ojcu, a teraz leżą w zamkowej zbrojowni. A ja wróciłem tu po kobietę, którą kocham.

Chwycił Lindsay za rękę i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Czy kochasz mnie, pani? Czy powiesz to wobec wszystkich zebranych tu ludzi i uczynisz mnie szczęśliwym człowiekiem?

- Ja myślałam... Tak się bałam... - Lindsay wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami. - Ale ty jesteś naszym lordem. Jak mogłabym...

Chciała złożyć mu pełen uszanowania ukłon, ale Morgan jej na to nie pozwolił.

Odwrócił się i rozejrzał wokół, aż zobaczył w jednym z dalszych rzędów Gordona i Gwen.

- Czy pomożecie mi przekonać tę upartą kobietę, że wróciłem tu specjalnie po to, żeby ją poślubić?

Roześmiana od ucha do ucha, promieniejąca szczęściem Gwen chwyciła dziadka za rękę i pociągnęła do ołtarza.

- Naprawdę jesteś naszym lordem? - spytała dziewczynka.

Morgan uklęknął przed Gwen i popatrzył jej w oczy.

- Tak. A teraz przyjechałem, żeby zabrać cię razem z bratem, dziadkiem i cicią do mego zamku.

- Będziemy żyć jak panowie? - spytał zdumiony Brock.

- Będziecie żyć jak wolni Szkoci, chłopcze. Nauczysz się wszystkiego, co trzeba umieć, by zostać prawdziwym rycerzem jak twój dziadek.

Gordon zrobił uszczęśliwioną minę.

- A ty, Gwen, zostaniesz damą jak Lindsay.

Wokół tłoczyli się mieszkańcy wsi, którzy chcieli zobaczyć swego lorda na własne oczy. Lindsay patrzyła na to wszystko zdumiona i oszołomiona.

Nawet stary ksiądz uległ niezwyklej atmosferze, jaka zapanowała w kościele. Z Biblią w ręku zwrócił się do Lindsay:

- Czy chcesz tego małżeństwa, dziewczyno?

Przełknęła łzy i kiwnęła głową.

- Tak. Niczego bardziej nie pragnę.

Chwilę później, gdy radosny dźwięk dzwonów oznajmił wszystkim nadejście Bożego Narodzenia, mieszkańcy wsi mieli okazję zobaczyć ślub, jakiego nikt się nie spodziewał, ślub, który połączył wielkiego lorda Morgana MacLarena i dziewczynę z ich własnej wioski - Lindsay Douglas.

Podczas gdy zgromadzeni wznosili radosne okrzyki, Morgan wsunął Lindsay na palec pierścionej matki. Potem ujął ją pod rękę i poprowadził przez nawę do wyjścia. Kiedy już wszyscy złożyli nowożeńcom gratulacje, przed kościół zajechały sanie

zaprzężone w czwórkę koni.

Dzieci dostały karmelki i ciastka.

Lindsay popatrzyła z podziwem na Morgana.

- Wygląda na to, że o wszystkim pamiętałeś, mój panie.
- Mam nadzieję, bo niczego nie pragnę bardziej niżli tego, byś była, moja słodka pani, zadowolona i szczęśliwa.
- Jestem szczęśliwa. - Westchnęła. - Nie mogę uwierzyć, że będziemy jechali tymi wspaniałymi saniami.
- Sanie, pani, zabiorą twego ojca i dzieci do zamku.
- A my?
- Tego się zaraz dowiesz, pani.

Lindsay przytuliła i pocałowała na pożegnanie ojca, a potem uściśnęła Gwen i Brocka. Sanie ruszyły. Lindsay podeszła do męża.

- Co teraz zrobimy?

Ujął ją delikatnie pod pachy i wsadził na koński grzbiet, a potem wskoczył na siodło.

- Dokąd jedziemy? - dopytywała się Lindsay. Pocałował ją w skroń. Tak dawno już nie czuł jej ciepła

ani tego zapachu sosen, który pokochał wraz z nią. Na myśl o tym, że mają całą noc dla siebie, zrobiło mu się gorąco.

- Znam małą chatkę w lesie nad potokiem. W miejscu, gdzie dumna góralka skradła mi serce.

- W chacie będzie zimno. To nędzny dom, niegodny ciebie, panie.

- Z tobą, najdroższa, wszędzie czuję się jak w pałacu. Tak długo czekałem na tę chwilę. A poza tym razem nie będzie nam zimno. Dopóki będę mógł trzymać cię w ramionach, nigdy nie zmarzniemy, Lindsay.

Objęła go mocno za szyję i zamknęła oczy. Próbowwała pozbierać myśli. Wciąż jeszcze nie była pewna, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy tylko sobie to uroiła, by uciec od strasznej rzeczywistości.

- W dzieciństwie nasłuchiwałam się opowieści o cudach świętego Mikołaja. Czy nie sądzisz, że to, co się nam dziś wydarzyło, może być właśnie jednym nich?
- Masz rację, Lindsay. - Opuścił głowę i pocałował żonę w usta. - Taka miłość jak nasza zawsze jest cudem. A ta noc będzie największym cudem, jaki się kiedykolwiek zdarzył na świecie.

KONIEC